

**BEZ
DEKRETU**

NR 12 KRAKÓW

BEZ DEKRETU

1983

BEZ DEKRETU

Pismo członków i sympatyków

„SOLIDARNOŚCI”

NR 12

Kraków - 1985

Spis treści:

| | |
|---|----|
| 1. Ona żyje mitem... - rozmowa z Władysławem Bieńkowskim . . . | 3 |
| 2. Maciej Piotr Prus - Wiersze | 15 |
| 3. Jerzy Surdykowski - Jaka prawica jest Polsce niepotrzebna | 18 |
| 4. Marian Krawczyk - Aleksandra Boleśławskiego liberalne "szkiełko i oko" | 24 |
| 5. Dokumenty: Ks. Rafał Domagała - Homilia wygłoszona 10.XI.1985 w kościele Matki Boskiej Zwycięskiej na Mszy św. w intencji Ojczyzny i Więźniów Politycznych. | 28 |
| 6. Mateusz Zawieja - Rządy Marszałka | 33 |
| 7. "AB" - Z historii walki z Kościołem w PRL - "Oрудzie biskupów polskich". | 41 |
| 8. Mieczysław Ludwik Boruta-Spiechowicz | 52 |
| 9. Rozmowa Lecha Wałęsy z generałem Borutą-Spiechowiczem | 53 |
| 10. Jacek Wegner - Taksówkarskie epitafium | 57 |
| 11. Konrad Struga - Tumany i fetysze: Donos na Świątyni Górne | 70 |

Wszystkie materiały publikujemy bez wiedzy i zgody Autorów

© Copyright by BEZ DEKRETU

Przedstawiciel "Bez Dekretu": Agnieszka Kołakowska
Paryż, Francja

Ona żyje mitem . . .

ROZMOWA Z WŁADYSŁAWEM BIENKOWSKIM

- Jak Pan ocenia amerykańską, czy reaganowską politykę w stosunku do Polski?

- Reagan i Polska to sprawa nazbyt brutalna. Nikt mi nie powiedzie, że Amerykę, a zwłaszcza w jej reaganowskim wydaniu, cokolwiek Polska obchodziła, że cokolwiek dla niej zrobiono.

- Proszę to udowodnić.

- A może na odwrót. Proszę mi wykazać, że Ameryka dla tego kraju w ogóle ma coś pożytecznego do zrobienia, poza wydaleniem stąd Sowietów...

- Chwilęczkę... nie rozpędzajmy się nadto daleko.

- Póki co, wystarczy Reaganowi stworzenie tutaj kociołka, w którym się będzie gotowało. To jest bardzo wygodne.

- Ale to przecież nie Reagan stworzył polski kociołek. "Solidarność" też zrodziła się bez jego udziału. Niezadowolone od 1944 począwszy także było bez udziału Reagana.

- Ale teraz oddał Polskę Sowietom. Proszę zwrócić uwagę, że procesy, jakie zachodzą od 1981 roku są nieodwracalne. Do sytuacji, jaką mieliśmy wobec Zachodu w poprzednich okresach już nie dojdziemy. Pod względem politycznym byliśmy bardziej Zachodem niż pozostałe kraje socjalistyczne. Otóż to się skończyło raz na zawsze. Jeżeli w tej chwili coś od Zachodu dostaniemy, to tylko via Sowiety.

- Jak rozumiem, sytuacja taka, w Pana opinii, zrodziła się po ogłoszeniu sankcji przez Reagana.

- Sankcje były dyktowane wyłącznie tym, żeby stworzyć w Polsce sytuację, która sprawi kłopot Sowietom. To było spuszczenie żelaznej kurtyny od Zachodu. Zawsze mówiło się, że żyjemy za żelazną kurtyną, którą opuściła strona sowiecka. Doszła do niej więc jeszcze ta, którą opuścił Reagan. W tej chwili żyjemy za podwójną kurtyną.

- To, co Pan w tej chwili zaprezentował, to typowe zimno-wojenne myślenie. Pan dobrze pamięta tamten okres, kiedy się ono zrodziło i kiedy święciło triumfy. I nie odszedł Pan daleko, skoro po niemal 40 latach nadal je Pan prezentuje. Czy nie sądzi Pan, że sankcje goopowarcze Reagana przede wszystkim były odpowiedzią na nacisk amerykańskiej opinii publicznej? Jak niby miał rząd USA zaprotestować przeciwko temu, co się stało 13 grudnia?

- A czy wzięła pani pod uwagę dodatkowe implikacje tego aktu? W tej chwili jesteśmy odcięci nie tylko od techniki zachodniej, ale i od literatury. Przestaliśmy prenumerować fachowe pisma.

- I nie ma w tym żadnej polsko-rządowej winy, tylko wina Reagana?

- Oczywiście, jest. Ktoś napisał, że gdyby ministerstwo sprowadzały sobie mniej zachodnich samochodów do obsługi własnej, to starczyłoby na literaturę fachową z wielu dziedzin. To jest fakt. Stalinowski okres, kiedy dotęp do kultury zachodniej był bardzo utrudniony, zostawił w bibliotekach luki, których nie dało się wypełnić. Są rzeczy, których nie da się uzupełnić. Ja, siedzący w nauce, zdaję sobie sprawę z katastrofalnych następstw tego. Od teorii zależy nasza

dalsza i nawet bardzo daleka przyjaźność.

- Proszę Pana, gdyby nie było stanu wojennego, nie byłoby tych następstw.

- Powiem brutalnie: niech pani nie pieprzy. Pamięta pani jak to było przed 13 grudnia 1981 roku? Pamięta pani?

- Pamiętam między innymi to, że mówił Pan o "Solidarności" rozmaite rzeczy, których Pan nie publikował z czystego wygodnictwa.

- Jak pani to sobie wyobraża? Co mogło nastąpić, gdyby nie stan wojenny ogłoszony 13 grudnia?

- Mógł się dziać dalszy rozwój ruchu społecznego "Solidarność". Może byłoby 5 lat prawie bezhołowania, ale coś by się wykryształizowało. Może trzeba było częściowo gospodarę puścić na wolny rynek...?

- Coś pani powiem: gdyby Polska leżała w Australii, to prawdopodobnie odbyłoby się to tak, że rząd poszedłby wreszcie w diabły... Zrobiłyby się bałagan nie z tej ziemi. I po paru latach coś zaczęłoby się krystalizować. I powstałby, jak łatwo się domyślić, totalitaryzm. W swojej ostatniej pozycji, wydrukowanej na parę dni przed stanem wojennym w piśmie krakowskim "Student" /nota bene pismo mocno się wychyliło w czasie "Solidarności" i zostało zlikwidowane/, odpowiadałem na kilka pytań, które redakcja przesłała mi pocztą. Nie pamiętam co pisałem, ale zapamiętałem pierwsze i ostatnie zdanie. Nauczyłem się ich na pamięć. Pierwsze było odpowiedzią na pytanie redakcji, czy to, z czym mamy w Polsce do czynienia, to narodziny nowego ustroju. Odpowiadałem: narodziny na pewno nie. To, z czym mamy do czynienia, to wczesne stadium embrionalne nie pozwalające jeszcze wyrokować ani o cechach ewentualnego przyszłego porodu, ani o przebiegu ciąży. Nieprzystosowanie organizmu państwowego do tego rodzaju ciąży każe się liczyć z możliwością poronienia... Ostatnie zdanie brzmiało tak:

... poza tym pamiętać trzeba, że jak uczy historyczne doświadczenie, następstwem sytuacji zbliżonych do tej, jaką mamy w Polsce, jest zawsze totalizm, powstały bądź ze zwycięstwa tendencji rewolucyjnych czy reformatorskich, bądź z ich klęski. Kropka. A teraz proszę pomyśleć - gdyby "Solidarność" zwyciężyła i objęła rządy w tym kraju - żadnymi innymi siłami jak tylko dyktatorskimi nie zdołałaby tego zarządzić społeczeństwa namówić do tego, żeby ono po jakichś czasach zaczęło chodzić. Przecież sympatycy i przyjaciele "Solidarności" byli zupełnie ślepi - w ogóle nie rozumieli co się w tym krefu dzieje. Chaos i anarchia doszły przecież do szczytu. Podam pani taki przykład: ja w mojej dwuosobowej rodzinie pełnię funkcję zaopatrzeniowca. Moim obowiązkiem jest przynieść mleko, chleb i gazetę. Otóż pod koniec "Solidarności" zajmowało mi to pół dnia. Mleko było, albo nie; chleb także aamo; gazeta - jeszcze gorzej...

- I to się Panu w stanie wojennym poprawiło?

- Tak. A pani tego nie odczuła?

- Nie, bo nie kupuję gazety.

- To się powoli zmienia. Pamięta pani oświadczenie sprzed grudnia, że aparat się rozłożył. Ale naprawdę sytuacja była taka, że żaden szef nie mógł krzyknąć na robotnika: ty, może byś to zrobił... Gdyby krzyknął, wywieźliby go na taczkach, ogłosili strajk itd. To nie mogło trwać. Paradoks polegał na tym, że władza była bezsilna wobec narastającego ruchu, wobec tej fali, ale nie mogła być obalona. Na tym polegała główna przeszkoda, że nie mogła być obalona, bo jej filary są poza granicami naszego kraju. Nie możemy tych filarów podkopać. Nie mamy do nich dostępu. Gdybyśmy chcieli zrobić z tą władzą porządek - to przyjdą tutaj i obsadzą lepszą wersję niż ta.

- Jaka więc miała być koncepcja, że się tak wyrażę, "Solidarności" w Pana rozumieniu?

- Była jedynie słuszną w tej sytuacji, jaka była i jest. Jedyna jaka mogła być, czyli stworzenie silnego, zorganizowanego ruchu, który swoją presją będzie wywierał nacisk, wymuszała na władzy idące w określonym kierunku reformy społeczno-ustrojowe itd.

- To było napisane w Porozumieniach Sierpniowych.

- Tak.

- Ale przecież z tego co Pan mówił wcześniej wynika, że identyfikuje Pan "Solidarność" z anarchią.

- Z anarchią... To jest tak samo, jak gdybym stanął nad kolebką małego dziecka i powiedział: o jakie śliczne niemowlę... A po 20 latach: jaki to straszny chuligan. Z pięknych dzieci często wyrastają chuligani. A w ogóle pani uwaga jest nieiwna. We wszystkich tekstach piasek: ruch "Solidarności" był ruchem autentycznym, można go nazwać rewolucyjnym, który ogarnął masy, który szedł szerokim frontem właśnie pod hasłem nacisku na władzę, żeby dostosowała się do społecznych potrzeb. Ale ruch społeczny zawsze i wszędzie ma własną dynamikę i raz wywołany idzie jak lawina, nawet nie tam, gdzie chcieliby przywódcy. Otóż ten ruch przekształcił się w lawinę bezkierunkową. Nebrał własnej dynamiki, rozdził własne ekatremizmy. Wskutek tego przestał być naciskiem na władzę, a stał się właśnie anarchizujący.

- Od którego momentu?

- Zupełnie wyraźne było to już od lata 1981. Nie wiem, czy pani śledziła ten rozwój. Wyraźnie zwyciężały tendencje decentralistyczne. Jako gość Zjazdu "Solidarności" patrzyłem z góry i to wszystko było dla mnie widoczne.

- Dlaczego Pan nie zabrał głosu i nie powiedział tego?

- Pytania zaczynające się od "dlaczego" mają prawo zadawać dzieci do lat siedmiu. Ponieważ pani nieco tę granicę przekroczyła... Poza tym, za kogo mnie pani bierze?

- Nie odpowiem... A więc tam, z góry w sali Oliwii, wszystko Pan widział?

- Wszysciuteńko...

- Mianowicie?

- Każdy mówił: musi być demokratycznie... demokracja... Regiony muszą mieć własne prawo do decydowania, a w regionach podregiony, a nawet poszczególne zakłady... Otóż o tym może pani *expressis verbis* przeczytać w moich tekstach: front nacisku zmienił się w wojnę partyzancką, gdzie każdy oddział działał według własnych upodobań i nie bardzo liczył się z tym, co robi sąsiad. Jedną z podstawowych broni klasy robotniczej był zawsze strajk. Otóż bron ta została skompromitowana z chwilą, kiedy strajkował kto chciał i o co chciał. To chyba pani zauważyła. Nawet apel Krajowej Komisji o zaprzestanie strajków została całkowicie zignorowany... To przestała być armia! Zaczęła się wojna partyzancka, która w ogóle zatraciła kierunek. Każdy walczył z przeciwnikiem, którego miał na miejscu. Z tą chwilą idea tego wielkiego ruchu załamała się. Pisałem przecież: nie stan wojenny spowodował klęskę "Solidarności". Klęskę poniosła "Solidarność" kilka miesięcy wcześniej! Właśnie wtedy, kiedy przestała być masowym, zorganizowanym i nakierowanym na określony cel ruchem. To byłaby taka z grubsza odpowiedź na pani pytanie. Dodam jeszcze /też o tym pisałem/, że wielu ludziom zdawało się, że ta samodzielność i ten ruch w terenie to jest objaw aktywizacji mas. To było złudzenie, bo to był paraliż mas. Każda forma anarchii, kiedy w walczącej armii oddziały za-

czynają robić co chcą - jest osłabieniem i przekreśleniem siły armii. I stwarza bardzo dogodną sytuację dla interwencji. Każda anarchia jest wygodna dla armii, bo wówczas wie, że nie spotka się ze zorganizowanym przeciwdziałaniem. Pamiętam - przyjaciele mi mówili: no, gdyby rząd się ośmielił, to odpowiemy strajkiem generalnym. Mówiłem: nikt nie odpowie, bo ruch jest zdeorganizowany, a sympatyzujący z nim boją się strajku. Telewizja pokazywała wówczas rozmowy z ludźmi - wszyscy bali się strajku. To nie było reżyserowane.

- Skąd Pan wie?

- Jeżeli jest strajk, to ludzie nie mogą żyć, nie mogą załatwić elementarnych rzeczy, nie mogą nakarmić dzieci... Tak to wyglądało... Wie pani, najgorsi są ci sojusznicy, którzy mają kłapy i nie widzą co się dzieje z lewej, a co się dzieje z prawej strony. Pani do nich należy.

- Skąd Pan wie? Póki co, to ja słucham pańskiej opinii polityka z komunistycznym rodowodem i staram się nie obrzucać Pana inwektywami. Co należało, zdaniem Pana, robić, żeby ruch nie poszedł w stronę anarchii?

- Tego jeszcze nikt nie wymyślił. Wszystkie rewolucje prowadzą zawsze do anarchii - francuska, rosyjska w 1917 etc. Wszystkie, bo takie jest prawo masowego ruchu, taka jest jego dynamika. Engels w starszym wieku pisał tak: często ci, którzy robili rewolucję, skarżyli się następnego dnia, że to nie była taka rewolucja o jaką im chodziło. Żadna rewolucja nie była taka jaką sobie przedtem wymarzyli przywódcy. Żadna!... ponieważ decyduje dynamika masowego ruchu, a to jest potężna siła, która nieaie. I przywódcy muszą iść tam, gdzie ich ta masa niesie. Tylko wtedy mogą rządzić, tylko wtedy mogą panować.

- Co zostało z "Solidarności" po 13 grudnia?

- Została legenda "Solidarności" i jej aktyw, który nie mógł się, nie umiał i nie chciał przestawić. Moja główna teza jest taka, że znaczenia 16 miesięcy "Solidarności" nikt w tym kraju nie zrozumiał. Nie rozumiała "Solidarność", nie rozumiała też władza. Gdyby władza była ciut inteligentniejsza, to miała możliwość rozegrania tej sprawy na swoją korzyść. Okres "Solidarności" pozostanie w historii Polski czymś analogicznym do Konstytucji 3 Maja. Punktem, do którego przyzależ nowatorskie ruchy będą się odwoływać... Z jednym tylko zastrzeżeniem - Konstytucja wyraźniej zarysowała kierunek, o który chodziło, w którym naród winien wówczas zdążyć. Już w II połowie XIX wieku wtyczne Konstytucji były oczywiście archaiczne. Pozostała jednak idea postępowego ruchu, jakiegoś organizowania, unowocześniania państwa itd.

Otóż "Solidarność" takiego programu nie zostawiła. Dwadzieścia jeden punktów Porozumienia było dopiero aktem wstępnym. Nie wynikało z nich w jakim kierunku właściwie zmierzamy. Sam ruch "Solidarności" i przywódcy nie bardzo rozumieli co to jest program. Jak większości ludzi w Polsce wydawało się im, że określenie celu jest programem. Nie-stety - cel mamy wszyscy jednakowy: żeby było dobrze. To jest "program" każdego człowieka. Ale prawdziwy program znaczy - co i jakimi metodami robić to, o co nam chodzi. Tego żadne znacząca wypowiedź ze strony "Solidarności" nie zawierała. Była jedynie generalna, wstępna idea, żeby zorganizowanym naciskiem wymusić na władzy demokratyzację systemu. To wszystko...

- Powiedział Pan, że 16 miesiący "Solidarności" nie rozumiała ani władza, ani "Solidarność". Proszę rozwinąć.

- Gdyby władza była rozumniejsza, o co trudno ją podejrzuwać i powiedzieć, śmielsza... Ale trudno od niej czegoś oczekiwać, bo to jest władza, która boi się wszystkiego. Przede wszystkim boi się własnego społeczeństwa. Boi się Moskwy. I boi się własnej kadry...

- Czyli jest sparaliżowana w obliczu potrójnego strachu.
- Tak. Musiałby tutaj, przeproszam za wyrażenie, pojawić się prawdziwy dyktator, który zacząłby od dyktatury we własnej partii. Należałoby ją przestawić, bo jest to stary, zjełczały, spetryfikowany aparat, który nie nadaje się do niczego.
- Przesada... znakomicie nadaje się do obrony własnych stanowisk. Tego nie można mu odmówić.
- Raczej tak. Można nawet powiedzieć więcej - własnej, w cudzysłowie, ideologii. Dyktator musiałby sobie tutaj uzyskać carte blanche ze strony sowieckiej...
- Nie idzie pan w stronę wishfull thinking?

- Ja uważam, że nasza władza mogłaby u Sowieców zdobyć znacznie szerszy margines swobody działania. Oczywiście, gdyby mądrzej postawiła pewne problemy. Władza sowiecka wie, że w tym kraju na jakieś ustępstwa iść trzeba. Ale na to trzeba by mądrej i otwartej głowy, która potrafiłaby coś takiego zaproponować. Na to tej władzy nie było i nie będzie stać. Tego trudno od niej oczekiwać, skoro sama boi się wszystkiego.

- Założmy, że pański "dyktator" znalazłby się?

- No nie - nie kontynuujemy tego marzenia. Czy dyktator? Po prostu człowiek z szerszym horyzontem i lepiej rozumiejący problematykę. Jednym z skutków "Solidarności" był stan pewnego paraliżu społeczeństwa. Tego "Solidarność" nie chciała widzieć. Nie dlatego, że społeczeństwo się rozczarowało. Nieee! Ono w dalszym ciągu nosi na sercu medalik "Solidarności", tylko straciło wiarę, że to do czegoś doprowadzi. O to chodzi. A tego nasi przywódcy "Solidarności" nie chcą zrozumieć. Ono ten medalik nosi, ale to jeszcze nie gwarantuje zbawienia, jak wiadomo.

- Niechże Pan wreszcie wskaże drogi prowadzące do zbawienia, które pan, znawca procesów społecznych, gdzieś dostrzega.

- Twierdzę, że w ramach tego ustroju można robić rzeczy, które społeczeństwo akceptowałoby... Przecież ono rozumie, że wyżej głowy nie podskoczy... Co natomiast widzę ze strony "Solidarności"? Ona żyje mitem! Wyłącznie! Jej pierwsze żądanie - przywrócić "Solidarność". Trzeba być małym Jasiem, żeby sobie wyobrażać, że coś takiego jest w ogóle możliwe. Napisałem w pierwszych dniach stanu wojennego, że po rozegranej bitwie nigdy to, co dalej ma się dziać, nie będzie kontynuacją tego, co było. Zawsze dokonuje się przegrupowania wojsk, zmienia się zadania. Dlatego też pomyślałem, że po 13 grudnia byłoby możliwe restytuowanie "Solidarności" byłą naiwnością. Powstała zupełnie nowa sytuacja. "Solidarność" w dalszym ciągu nie wie co w tej sytuacji robić, prócz protestowania. Te protesty zresztą są bardzo naiwne. Nie mogą wyierać żadnego wpływu na bieg spraw. To jest główny przedmiot mojej troski, moich zmartwień.

- Czy z tej troski i zmartwień wyłania się coś konkretnego, jakiś pomysł, rada...?

- W gruncie rzeczy, proszę pani, kapitał emocjonalny podświadomie się zaciera. Ludzie znów wpadają w stworzony kierat i zaczynają myśleć aktualnymi kategoriami. Gdyby władza potrafiła zapewnić społeczeństwu jakiś taki postępek gospodarczy...

- ... to tzw. milcząca większość pokochałaby ją.

- Tak. Oczywiście, tak. Tylko władza nie jest i nie będzie w stanie... W tej konfiguracji przed Polską rysuje się ponura perspektywa. Ponura... Obecnie ciągle robi się jeszcze dobrą minę do tej gry. A to jest tylko łatanie dziur, które się codziennie ujawniają w tym śląku

ledwie utrzymującym się na wodzie. Perspektywy, że statek może dopłynąć do jakiegoś portu są coraz słabsze. Nie ulega wątpliwości, że w XXI wiek wejdziemy jako ostatni kraj już nie w Europie, a jako ostatni kraj wśród wszystkich krajów rozwijających się. Kraj "rozwijający się", to niby eufemizm, bo z Tanzanią jeszcze się nie mierzymy. Chodzi mi o te kraje, które w III świecie rzeczywiście się rozwijają... My będziemy na ich końcu.

- Wrócmy do "Solidarności" i pańskich o nią trosk.

- "Solidarność" przede wszystkim nie stworzyła promieniującego ośrodka. Jest kilka indywidualności oddzielnych.

- Mianowicie?

- Nazwiska? A co mnie obchodzą nazwiska. Idzie mi o to, że "Solidarność" nie stworzyła takiego ośrodka prawdopodobnie z powodu braku programowego kośćca. Jedność myśli, jeśli idzie o kontestację, jest. Jest wspólny program na "nie", ale programu na "tak" w ogóle nie ma. Owszem, ludzie mają pomysły, ale nie układają się one w całość programową.

- Czym według Pana był program zatwierdzony na I Zjeździe?

- Nie było takiego!

- Czym wobec tego było to, co było rozpisane w pięciu rozdziałach i miało w tytule słowo "program"?

- To były pła desideria - pobożne życzenia, a nie żaden program. To co oni tam wypisywali o gospodarce, to było łapanie much na suficie.

- A cóż złego było u podatków tworzenia owych pła desideriów?

- Proszę pani... Ja w kuluarach Olivii, stary parlamentarzyste - specjalista od powiedzeń kuluarowych... Otóż w kuluarach Zjazdu mówiłem: największym kawałem, jaki partia mogłaby zrobić "Solidarności" byłoby oddanie jej władzy. Okazałoby się wtedy, że "Solidarność" pęknęła wzdłuż wszelkich szwów. W ramach "Solidarności" powstałoby co najmniej 20 zwalczających się partii...

- Dzieje się to teraz...

- Mówimy o "wtedy". Każdy region miałby własną partię... "Solidarność" nie stworzyła jednolitego ośrodka myślenia. Nie ukierunkowała myśli, bo jak powiadam, myśli są ukierunkowane od 1945 roku na "nie". A tutaj była okazja. Jedyne, co "Solidarność" miała do zrobienia, to było właśnie ukierunkowanie na "tak".

- Na jakie "tak"?

- Dziecko, nie będę wprost odpowiadał na to, jaki powinien być program "Solidarności". Nie jestem do tego powołany i moje koncepcje oraz poglądy nie mają tutaj nic do rzeczy. Natomiast powiem pani, jakie tu stoją zasadnicze problemy, które nie tylko, że nie zostały ominięte, ale one się wyolbrzymiły. Sprzeczność zasadnicza polega na tym, że "Solidarność" miała siłę społeczną, a ustrój mogła zmienić tylko władza, bo ona miała w rękę wszystkie sprężyny. Reforma systemu pod zorganizowanym naciskiem wymagała współpracy z władzą, przy ściśłym wypełnianiu umów - tego władza zrobić nie chciała, a "Solidarność" nie mogła. Było to niewykonalne dla obu stron. Trzeba więc było ustalić jedno - w jakich formach "Solidarność" będzie z władzą współdziałała. Rzeczywistość natomiast szła w kierunku przeciwnym, zgodnie z logiką masowego ruchu. Sprzeczność była oczywista - jeżeli bowiem my idziemy na walkę, przeciwnik robi to samo w obronie swoich pozycji. Powstaje więc w kraju sytuacja rewolucyjna, anarchizuje się społeczeństwo, aparat przestaje działać itd. itd. W tej sytuacji pierwotny za-

rys "Solidarności" realizowany być nie mógł. Na to trzeba było zorganizowanego, zdyscyplinowanego ruchu, którym nie mogła być "Solidarność". Może podołałaby temu jakaś partia, tak jak w najlepszych czasach labourzystowska, która ma stare tradycje, ma swoich przywódców mówiących: teraz robimy to, a nie robimy tego. Ale tego nie dało się robić w sytuacji narastającego ruchu rewolucyjnego, czyli osiągnięcia tego pierwotnego celu było z tych powodów nierealne. Powstał przecież taki problem, czy mamy anarchizować, czy też utrwać władzę? Jeżeli mamy np. utrzymać porządek, no to wzmacniamy władzę.

- Jak anarchizujemy, to też przecież wzmacniamy?

- Nie. Tego oni nie wiedzieli. To nie jest wzmocnienie władzy, to jest tylko ułatwienie jej opanowania sytuacji. To jest przygotowanie wygodnej pozycji dla działania armii...

- Jako mistrz od kuluarowych plotek powiedział Pan, że największym kawałem jaki władzy mogła zrobić "Solidarność" byłoby oddanie jej władzy. W 1945 roku powiedział Pan do swojego "towarzysza", też polityka, że "szybko ten kraj rozpieprzymy". Przyznać trzeba, że ta prognoza spełniła się rewelacyjnie. Jaka Pan miał gwarancję, plotkując, że "Solidarność" rozpieprzałaby równie skutecznie?

- Uchylam to pytanie. To nie jest à propos. Nie, nie... zawsze jakieś zmiany we władzy następują. To, czy ta władza będzie się zachowywała lepiej, czy gorzej - tego przewidzieć nie sposób. Nigdy! Nigdy!

- Mówił Pan, że u podstaw myślenia "Solidarności" nie było prób tworzenia programu...

- I to zostało do dzisiaj. Jedną z moich głównych pretensji do "Solidarności" jest to, że przejęła bardzo wiele cech ruchu komunistycznego. Wymienię dwie. Jedną to przyjęta w walce politycznej zasada: im gorzej, tym lepiej. To komuniści zawsze mówili, bo im gorzej, tym większe wzburzenie mas, tym większy protest przeciwko władzy i łatwość obalenia jej. Tę samą zasadę stosowała "Solidarność". A drugie, w czym naśladowała komunistów, to nietolerancja. Niestety, społeczeństwo polskie dawno już odwykło od życia w systemie jako tako demokratycznym. Młode pokolenie, nawet w rodzinie się z tym stykam, już nie rozumie takiej rzeczy, że można np. z przeciwnikiem politycznym dobrze żyć, dyskutować, utrzymywać przyjacielskie stosunki... Nie! to jest wróg! Otóż to jest przerażające, bo znaczy to, że nie mamy już instynktu demokratycznego. Polacy nigdy nie mieli wysokiego. Raczej mieli wolnościowy niż demokratyczny... Ale naśladowanie w tym kierunku totalitaryzmu wręcz mnie przeraża. Przecież dzisiaj sytuacja jest taka, że w środowiskach "Solidarności" nie można wystąpić z poglądem odbiegającym od potocznych. Nie można - urywa się rozmowa. Kropka! Moi przyjaciele, którzy wracają np. z Paryża po kilkutygodniowym pobycie twierdzą, że klimat w środowiskach "Solidarności" jest tak ostracystyczny, tak nietolerancyjny, jakiego nawet u komunistów nie widzieli. Mnie, który z urodzenia jestem liberałem i demokratą...

- ... co też Pan mówi. Z tymi cechami pchał się Pan do PPR?!

- Tak. Po to, żeby tam robić w miarę możliwości demokrację. Tylko po to tam poszedłem.

- Sądzę, że dorabia Pan sobie teraz, jak się to mawia, ideologię. Do PPR szedł Pan dla władzy, a nie dla robienia demokracji.

- No wie pani, Gomułka określił mnie jako anarchistę. Anarchia wszak nie wyklucza demokracji.

- Zdaje się, że nie dojdziemy na tym odcinku do zgodnych ustaleń. Wróćmy więc do "Solidarności".

- Śledzę postawy i wypowiedzi sympatyków "Solidarności". Jaki jest

punkt wyjścia ich działań? Otóż tym punktem jest likwidacja w Polsce komunizmu i prawdopodobnie, zgodnie z propozycją Reagana, w ogóle w tym rejonie świata. Jeżeli taki sobie wytkniemy program - nie obchodzi mnie to w tej chwili merytorycznie, tylko metodologicznie. Co jest wobec tego naszym zadaniem - pytam. Działać na szkodę tego systemu. I wtedy propozycja: szkodzić, utrudniać byłaby logiczna.

- Ależ to jeszcze nie obala komunizmu.

- Ale zmierza, utrudnia mu życie, z nadzieją, że ktoś, kiedyś te guziki naciśnie. Wiadomo, że inaczej komunizm nie zniknie. Jeżeli więc zarysujemy sobie taki punkt wyjściowy, to przerywamy dyskusję. Pogsdamy, jak już te bomby atomowe wybuchną i pyły opadną...

- ... a płasek przestanie nam zgrzytać między zębami, jeżeli w ogóle będziemy i na dodatek z zębami. Przejdźmy od tej Apokalipsy w jakiś optymistyczniejszy i rozsądniejszy wymiar.

- Kochana - ja tylko powiadam, że jeżeli u podstaw leży taka filozofia, to kończy się rozmowa i zaczynamy czekać, psując, w miarę możliwości, to co tu jest. Chodzi mi o to, że przy takim założeniu nie możemy wytyczyć żadnego sensownego celu działania, sensownego programu.

- Używa Pan słowa program, a mówi o celu. Obalenie komunizmu jest celem.

- Tylko środki na to są... uhm... Jeżeli byśmy naciśnęli guziki tych wyrzutni, to komunizm zniknie, ale zniknie też wiele innych rzeczy. Ten cel jest dobrze obmyślony, bo metoda prowadząca do jego realizacji jest już znana. Nie w naszych ona jest rękach. Jeżeli my coś mamy do zrobienia, to przede wszystkim musimy uznać istniejący stan rzeczy. Nawet jeżeli chce się go zmienić, to w działaniu trzeba to przyjąć za punkt wyjścia. I tutaj zaczynają się kłopoty z programem. Co ma w Polsce robić człowiek, który sympatyzuje z ideałami "Solidarności", który chce, żeby tutaj było inaczej? Tego "Solidarność" nie jest mu w stanie podpowiedzieć. Jeżeli powie: protestować przeciwko temu co jest - to jest to jakiś program - ale on do niczego nie prowadzi.

- Protesty uświadamiają przynajmniej władzy, że jeszcze nie wszyscy padli przed nią na twarz.

- Z niezadowolaniem władza ta ma do czynienia od 40 lat. Niezadowolone nie dało rezultatów w 1956, nie dało w 1980-81... To nie jest program społeczny. A choćby sama koncepcja bojkotu pracy, afiszowanie się nią... przecież to tylko pomysł zrodzony z odruchów czysto emocjonalnych.

- I moralnych.

- Może tak, ale politycznie jest to idiotyczna koncepcja. Ci, którzy namawiają do eskapizmu, wycofania się, nie brenia udziału jakby nie rozumieeli, że kraj nie może zawiesić swojego życia. Ono będzie trwało, będzie istniało, pisarze będą pisali, gazety będą wychodziły, teatry grały, bo to wszystko musi działać. Można bojkot ogłosić na jakiś czas. Można strajkować tydzień, dwa. Z bojkotem jest ten kłopot, że łatwo go ogłosić, ale diabelnie trudno się z niego wycofać, bo nie wiadomo, kto ma o tym zadecy ować.

- Ci, którzy go ogłosili.

- Nie, bo on się ogłosił trybem, że tak powiem, plotki. Nie było żadnej informacji...

- Ale TKK mogło odwołać.

- Oczywiście, ale o to idzie, że w ramach działających ogniw "Solidarności" nie ma takiego, które by się czuło odpowiedzialne za to,

i które by śledziło, co się w tym kraju dzieje. Ot, choćby koncepcje rządowych związków zswodowych - w "Solidarności" były dwie tendencje: wchodzić i nie wchodzić. Większość opowiedziało się za bojkotem. Nstomiest logiczne i sensowne byłoby wchodzenie dlatego, że te związki będą działały. Bojkot był obliczony na to, że rząd się cofnie, że coś się zmieni. Nic się nie zmieni.

- Uważa Pan, że gdyby weszli byłoby lepiej?

- Byliby w związku. Nie można działać poza związkiem. Te tzw. struktury "Solidarności" są w dużej mierze fikcją, przynajmniej z punktu widzenia działania. Psychologicznie działają na ludzi, ale wpływu nie mają żadnego.

- A na co miałby wpływ w tych rządowych związkach?

- Większy niż teraz.

- Taki jak ci, którzy wpisywali się i wpisują do partii z wiarą, że coś tam zmienią.

- Nie, kochans. Związki nie są partią. Proszę tego nie mylić. Jeżeli się mówi, że robotnicy w fabryce to jest siła, a ich instancją organizacyjną są związki zswodowe - to jaks może być odpowiedź?

- Podobna do tej, że przewodnią siłą klasy robotniczej jest PZPR...

- Związki to nie partia - już mówiłem. Jedynym wyjściem jest, żeby ludzie, którzy myślą inaczej, inaczej widzą rolę związków, byli w nich, a nie na zewnątrz. A jeżeli mają istnieć struktury "Solidarności" podtrzymujące jakąś rzeczywistość robotniczą działalność, to powinny się rekrutować spośród tych robotników, którzy są w związku. Oni powinni tsm stanowić bardziej zorganizowany i światlejszy aktyw. Wtedy to miałoby sens.

- Znowu rodzi się wallenrodzizm. Nie sądzi pan, że mechanizm zniszczyły i splugawiły ich prędzej czy później. Z tego powodu byłam przeciwniczką wchodzenia w rządowe atropy.

- Nie uogólniam tego na wszystkie zawody. Jeśli idzie o związki twórcze, to jest inna sprawa. Mówię teraz przede wszystkim o klasie robotniczej. Czy "Solidarność" będzie uważała tych robotników, którzy są w rządowych związkach, za swoich wrogów? Ten, kto tak twierdzi ma chybs ku-ku na muniu. Proszę pomyśleć...

- To, żeby nie wchodzić do nowych związków było stanowiskiem robotników. Rozumie to Pan?

- Rozumie, bo wtedy wszyscy, łącznie z najmądrzejszymi, reagowali emocjonalnie. Świadomi roli życia organizacyjnego powinni powiedzieć: tsk. Struktury, działanie duohowe i uświadomienie polityczne powinno być niezależne od tego. Powinno obejmować tsk samo tych, którzy nstępują do urzędowych związków, jak i tych, którzy nie należą. Niech pani pomyśli - jeżeli my, ludzie piszący, możemy nie przystępować do tej piszącej organizacji, która jest dość obrzydliwa itd... itd. Ale w fabryce te zasady nie obowiązują. Psni może uważać tych, którzy są w nowych związkach twórczych za przeciwników "Solidarności", choć to też nie byłoby tsk bardzo prawdziwe... ale nie można za przeciwników "Solidarności" uważać robotników, którzy poszli do urzędowych związków. Czy w tej chwili 40% robotników, którzy są w nowych związkach, jest wrogami "Solidarności"?

- To nie ta klasyfikacja. Są chwilejni, kolaborują, boją się, chcą mieć święty spokój i wczasy we Wdzydzach Kiszewskich.

- Tchorze także są częścią społeczeństwa. I tutaj zaczyna się sprawa kolaboracji. To jest drugi punkt w odpowiedzi na pytanie: co ma robić Polsk w swoim państwie? Jeżeli pani powie: nie kolaborować...

- Proszę tego nie rozwiązać do granic absurdu i twierdzenia, że podbijanie biletu w tramwaju też jest kolaboracją.

- Kochana, żeby nie kolsborować, nie wolno w ogóle niczego robić. Robotnik nie powinien chodzić do fabryki, do której chodzi. No dabrze: chodzi z przymusu. Uwzględniamy to i rozgrzeszamy go, bo musi zarobić ns chleb. Ale w prsycy powinien pracować jak najgorzej. Przecież to jest szatański pomysł: kolaboracja we własnym krsju! Owszem, było tak za czssów okupacji hitlerowskiej! Niektórzy są skłonni rozciągać tutaj analogie...

Otóż to wszystko wymaga przemyślenia. Gdyby odwołać się do czasów zsborów. Po Powstaniu Styczniowym nastąpiła reakcja, że jednsk coś trzeba w tę Polskę włożyć. Nie wystarczy żyć samym romantyzmem wsłki. Trzeba tutaj pracować, budować. Wtedy te dwie tradycje zwałczyły się, ale w sumie obie stały się twórczą częścią narodowej tradycji. Gdybyśmy w XIX wieku nie podnieśli sprawy pracy organicznej dla Polski, byłoby to z ogromną stratą dla kraju. Byłby jeszcze bardziej zacofany niż jest. Itd. itd. Podobnie teraz - z jskiegokolwiek punktu widzenia byśmy patrzyli, hasło kolaboracji jest zupełnie bezmyślnym. Nie wiadomo, przeciwko czemu protestuje. Przeciwko pracy! Przeciwko normalnemu życiu tego kraju!

- Wiadomo - protestuje przeciwko kolaboracji, czyli...

- ... no, jeżeli ktoś zostaje powołany na kierownicze stanowisko polityczne... od biedy wtedy można sprzwać go Kolaborantem.

- Albo jeśli ktoś swoje pióro sprzedaje ns usługi propagandy.

- Taki podział jest zawsze. Zawsze są ideologowie i zawsze są słuszarze i kowale. Tylko idzie o to, kto tu jest kolaborantem. To trzeba jasno powiedzieć: ja tutaj wykonuję swoje zadanie, bo jestem u siebie w swojej Ojczyźnie. Robię to, żeby tę tonącą Ojczyznę podtrzymać na powierzchni wody, żeby nie utonąła. A w chwilach wolnych robię program uświadczenia ludzi. Żeby wiedzieli, o co tutaj chodzi i żeby byli gotowi, żeby mieli świadomość kierunku w jakim idą i przy każdej naderzającej się okazji to manifestowali. Kiedy mówimy o kolaboracji, to to się wyklucza. Do diabła, co ma robić pisarz? Tak ma dość przeszczód ze strony władzy, która mu nie pozwala pisać tego co by chciał. Nie mówię o sobie, bo ja od 1966 roku w ogóle nie jestem drukowany w tym kraju.

- I nie poszedł Pan na kolaborację, czyli na pisanie np. przemówień tow. Swirgoniowi, czy innemu inteligentowi z KC. Nie zmienił Pan swojej myśli i nie dopasował do wymogów "Nowych Dróg" czy "Żołnierze Wolności". I to by było z kolaboracją na tyle - jak się mswis. A tak na marginesie, to w 1981 roku publikowano Pans w "Studencie".

- To było w czasie pożaru w Polsce. To się nie liczy. Powiem pani ns czym polega główna sprzeczność między Polską i Rosją. Polska przynajmniej od XV wieku nie miała ani jednego dnia władzy despotycznej. Roaja nie miała w swej historii ani jednego dnia wolności. Na to ktoś mi kiedyś powiedział: nie, bo od rewolucji lutowej do październikowej tam była wolność. Z kolei js odpowiedziałem: w czssie pożaru domu. To tsk jak dzieci trzymane surową ręką wspominają: a, wtedy kiedy się u nas paliło, to mieliśmy frajdę, robiliśmy cośmy chcieli.

- W zasedzie powiedział Pan, czego nie należy robić w Polsce, co robi się źle. Pytam teraz - co tutaj trzabs robić?

- Ja też o to pytam. Nie jestem po to, żeby odpowiadać. Ja tylko prowadzę do tego, żeby odpowiedź ludzie znaleźli sami. Możemy powiedzieć, że dopóki komuna tym krajem rządzi, nas to nic nie obchodzi; niech ginie, albo nie ginie. Możemy też powiedzieć: my tu jesteśmy gospodrszami, którzy wprswdzie msją takiego administrators itd. itd.

Ale my za to odpowiadamy.

- Głosi Pan teraz jak ksiądz Skarga.

- Tak... My za to odpowiadamy. Przed historią będzie się liczyło to co my zrobimy.

- Co więc mają robić ci z "Solidarności", którzy jeszcze chcą i mogą coś robić, którzy nie spoczęli pośród kwiecisk w męczeńskiej kapliczce zlikwidowanego Związku?

- Ich obowiązkiem jest przede wszystkim przemysleć te zagadnienia i dać ludziom, którzy ich jeszcze słuchają, wytyczne. Powiedzieć, jaka jest rola obywatela polskiego w tym kraju. Co on ma za zadanie. Co ma robić dziś i do czego ma dążyć jutro.

- Łatwiej powiedzieć co jutro, trudniej co dziś. A poza tym, to żadna odpowiedź. Na to nie trzeba być od 50 lat politykiem, żeby takie hasła rzucić.

- Polek musi robić maksymalnie dobrze wszystko to co robić może - to jest jedyna odpowiedź. Nie może być innej. Wnioski niech pani sobie sama wyciąga. To hasło, że tsk powiem, sbsencjonizmu, eskspizmu od tego wszystkiego mocno tkwi w pani. Ja też wiem, proszę pani, że mamy najgłupszą i najgorszą władzę jaką można mieć. Przyczyna tego jest taka, że ten system najgorzej ze wszystkich pasuje do naszego narodu. Nasze społeczeństwo z jego tradycjami najgorzej się w tym systemie układa. Znacznie lepiej idzie to społeczeństwom, które są bardziej zdyscyplinowane i zdolne do posłuszeństwa, choćby Czesi, czy Węgrzy. My jesteśmy bardziej samowolni, no i więksi indywidualiści. Gorzej więc znosimy formy, które uważamy za złe. Z tego też powodu nasza władza ma trudniejsze życie niż inne w tym obozie. Ma też za mało oleju w głowie, żeby znaleźć sposób na wybrnięcie z tych sprzeczności.

- Może więc Pan powie, poda sposoby, jak mogliby wybrnąć z tych sprzeczności. A nuż skorzystają...?

- One są bardzo proste. Musielibyśmy poddać analsiźnie dwa okresy: gomułkowski i gierkowski. Gomułkowski, w którym nastroje społeczne były bardzo obiecujące. Program zarysowany przez Gomułkę był wówczas chwytliwy dla społeczeństwa. Został on jednak storpedowany przez samą partię. Osobliwością gomułkowskiego 14-lecia było to, iż był to jedyny okres w historii wszystkich krajów socjalistycznych, gdzie cała partia walczyła z przywódcą na noże... Od pierwszej chwili, od październikowego plenum, cały spór partyjny był przeciwko Gomułce. Gomułce cofał się, ustępował ze wszystkich pozycji, aż wreszcie dał się zgnoić. Przecież marcową impreza była w intencjach jej organizatorów skierowana przeciwko Gomułce... To jest wielka osobliwość. Ludzie tego nie doceniają... Ja siedziłem wówczas na odstrzelanych pozycjach i odczułem to szczególnie wyśrźnie.

Okres gierkowski był okresem obłąkanych koncepcji. Gierka i jego ludzie słyszeli gdzieś, że przy pomocy kredytów różne kraje zbudowały swoją potęgę. Więc dawaj; weźmy kredyty i wydamy je na lody... Tyle...

- Dla mnie jest Pan przykładem nielegalnego legalisty.

- Ładnie to powiedzcieś. Zgadzam się. Celem dla mnie nie jest walka. System socjalistyczny jest według mnie taki dobry, czy taki zły jak kapitalistyczny.

- Wnosząc z oglądu choćby Europy śmiem twierdzić, że zły jest socjalistyczny.

- Tutaj bym... Władza stawia sprawę tak - czy jesteś za, czy przeciw socjalizmowi. To zwyczajny szantaż, który ma odwrócić uwagę od

istotnych zsgednień. Nikt w Polsce nie ustosunkowuje się do ustroju, a do polityki władzy. Co mnie obchodzi ustrój? Mnie obchodzi to, co robi władza! Prawds?

- Nieprawds. Mechanizmy systemowe gwarantują władzy to, że nadal nią jest.

- Nie ustrój nss dręczy, ale ci, którzy go w jakiś sposób rżalizują.

- Nikt go, jak do tej pory, nie realizuje inszej.

- To różnie bywa. Ludzie, którzy teraz wracają z Węgiel, mówią: to jest Europa. Tam się poprawia i Ksdar zyskuje popsrocie społeczne. A u nas jest jakiś korkociąg, który ciągnie do dołu. Kiedy zaczyna narastać społeczny sprzeciw, władzs postępują na tyle głupio i brutalnie, że tylko pogarsza stosferę społeczną. I tak to się ciągnie.

- Kadar, nie Ksdar - summa summarum celem winien być antykomunizm.

- To są dziewczęce poglądy... Komunizmu na świecie się nie obali. Nigdy! Ns rzecz czego? Niech pani pomyśli!

- Socjlsdemokracji, na przykład...

- Na demokrację wcale nie trzeba komunizmu obalać. Komunizm w swojej pierwotnej, markowskiej formie miał być ustrojem oalkiem demokratycznym. Pech chciał, że te idee chwyciły w feudalnej Rosji. Tsm mógł być tylko taki, jaka była Rosja. Podstawowe idee socjalizmu będą w przyszłości nieuchronnie realizowane. Taks jest opinia wybitnych ekonomistów z tamtej strony. Kapitalizm, jaki istnieje, jest formą czasową. W dalszej przyszłości taki nie może być. Szwedzki program społeczny przeciw jest programem socjalistycznym. Nie ma nacjonalizacji, ponieważ uważają, że technicznie sprawniejsze jest funkcjonowanie systemu gospodrczego... Jakie formy społeczne będą się kształtowały w przyszłości - nie wiem. Ns ogół nie sprsdzały się żsdne ludzkie przedwidywania.

- O tym, że kspitslizm umiers, wiedzisl już Marks i Lenin. Sądję, że objawy ewolucji i zmian bierze Pan za sgonię.

- Ależ js powiadam, że kapitalizm podlega daleko idącym zmianom i będzie nsdsł podlegał. W jskim kierunku - zobaczymy. Cały świat żyje dziś pod presją koncepcji amerykańskich. Koncepcja ta jest nieadekwatna do mniejszych krajów Europy... A nienawiść do komunizmu...? Nawiłość pani polega na tym, że protestuje pani przeciwko pewnym koncepcjom ideologicznym, przeciwko marzeniom o przyszłości, których wykreślić się nie da. Nie da! Tego rodzaju tęsknoty pojswiały się już w starożytności.

- Czy ja cokolwiek złego mówiłm na temat marzeń, tęsknot? Jeżeli protestuję, to przeciwko prozie 60 lsi szczęśliwości ludzkiej made in USSR.

- Dobrze, sle to nie świadczy, że idee te znikną. Pozy tam nie da się tschik zjswisk jak to, które jest dzisiejszym światem socjalistycznym wykreślić. Nie da się...

- Mam wrszenie, że Pan oderwany jest od rzeczywistości. Używa Pan nazewnictwa ze sfery teorii nauk społecznych, a nie z dziedziny praktyki społeczno-politycznej. To co Pan nazywa światem socjalistycznym, nazywałabym światem dominacji rosyjskiego totalitryzmu. A poza tym różne bywały okresy w historii, które minęły. Tylko komunizm jest przekonany o własnej nieśmiertelności.

- W czasie wędrowki ludów po upadku Rzymu wszystko się zmieniło. Teraz może się zmienić, sle tylko po wojnie.

- Michael Nowak ma inną koncepcję, inną R.V. Burks, może i Pan mieć swoją. Inną. Na temat możliwości upadku Imperium Sowieckiego będzie w sierpniu br. odbyła się konferencja w Genewie. Usłyszymy pewnie przynajmniej echa wygłaszanych tam referatów. Oczywiście, to także będą intelektualne spekulacje... Na zakończenie naszej rozmowy wrócmy jeszcze do "Solidarności"...

- ... ci, którzy uważają się za kontynuatorów "Solidarności" muszą mieć świadomość, że obiektem ich działania jest cały naród. Nie tylko ci, którzy w tej chwili sympatyzują, manifestują itd. Ale także ci, którzy poszli do związków, którzy poszli do PRON-u. To są wszyscy ludzie, a przynajmniej znaczna ich większość, którzy medlik "Solidarności" schowali głębiej i nie noszą ich jawnie. Jak tylko pojawi się stosowna chwila - to oni będą. To są normalni obywatele - lepsi, czy gorsi patrioci tego kraju. O tym zapominać nie wolno. Największą klęską byłoby sprowadzenie zwolenników "Solidarności" do rozmisłów sekty.

- Bardzo dziękuję za rozmowę.

MACIEJ PIOTR PRUS

Niech nie potrafią cię dotknąć
żadnym kłamstwem ani pogardą
Upokorzenie nie jest niewolą
upokorzenie jest zdradą

BERLIN

Kraj przecięty na pół
zaszlachtowane zwierzę
Na czerniejącej i sinej rsnie
z przewieszoną przez ramię lornetką
żołnierz
jak larwa

Muzea zawsze będą martwe
Świątynie będą zmieniać bogów
Barbarzyńcy będą przychodzić
i odchodzić
Prawdy będą potwierdzane
w liściach
rzekach i rybach
Młyńskie koło będzie się obracało
będą nsrodziny i śmierć
i na próżno szukać konieczności
i sensu
Powtarzam to jak litanię
Białe wzgórza falują
Ile jeszcze lat
ile msrtwych lat
tak różnych niepodobnych
samotnych

za głuche słowa pojednania
ukryte w rękawie
za dreszcze polarnej nocy
za ciężkie kroki
na pokładzie "Aurory"
i za proch aby namókł

za groby nierozpoznane
otulone śniegu szalem
za chwilę oczekiwania
tak bolesną
jak przebitą drzazgą palec

za przecucie że jesteśmy starzy
jeszcze starsi niż rodowe srebro
i jak paciorki różańca
przesuwamy się w palcach
w te same słowa
i w tę samą ciemność

Wszystkich nas zawleje przysypie
ciężki śnieg wydeptane rany
w zaspach nad wilczą równiną
wystygła żsgiew niedostępnej ziemi
trzesk sosen odchodzących szpslerem
w zbyt wysokie posiwisłe niebo

Już nie musimy splatsć wiosny
z liści poźółkłych przebiegsć
ns palcach przez ciężkie pokoje
rąk przysmrzniętych odrywać
od twarzy sni udawsć że żyjemy
jeszcze w gorączce i kłamstwie
wydrpsnych jamech

XII.1982

ŻYDZI POLSCY

Mała Sara miała dwa lata
jak płonęła i leciała
do Boga
Świeciła jak gwiazda
nsd Izrselem
Myśmy siedzieli pod ziemią
w piwnicy
i już zostsliśmy tak
w tej Polsce

MACIEJ PIOTR PRUS

Jaka prawica jest Polsce niepotrzebna

Prawica jest w ekspansji. Jak słusznie zauważył autor jednego z prawicowych tekstów: "13 grudnia 1981 kupą gruzów przysypał resztki nadziei Polaków na zreformowany przez "Solidarność" socjalizm o ludzkim obliczu". Czuję się człowiekiem lewicy, ale pomimo to /a może jednak dlatego/ pstrzęm tę prawicową ekspansję zyczliwie. Jest ona nie tylko zrozumiałym ludzkim odruchem na zpsść lewicowych nadziei. Jest po prostu potrzebna dla pluralistycznej równowagi niezależnego życia umysłowego dzisiaj, a politycznego jutro lub pojutrze, kiedy stanie się ono w Polsce realnie możliwe. Chciałbym tylko - parsfrazując tytuł dyskusji z prawicowej "Polityki Polskiej" przestrzec moich prawicowych przyjaciół przed zбочeniami w jakie można popaść na tej jedynie słusznej dla nich drodze. Niektóre już się rysują w dotychczas opublikowanych tekstach umysłowych tuzów rosnącej w siłę polskiej nowej prawicy. Niezależnie od tego, jaka prawica jest Polsce potrzebna, to taka rozmowa potrzebna jest nam wszystkim niezależnie od koloru zapatrywań.

Najpierw jednak kilka słów o lewicy, bowiem moi prawicowi polemisiści skłonni są do widzenia przeciwnika wedle swoich życzeń, obaw, a pewnie i kompleksów, nie zaś wedle realnych faktów. Spór zaś ze sztucznym przeciwnikiem daje takie efekty, na które szkoda papieru. Tak jest właśnie z głośną ostatnio książeczką Piotra Wierzbickiego "Myśli stroszowieckiego Polska" /wydawnictwo "Głos", Warszawa 1985 r./.

PRZEGRANI ZWYCIĘZCY

Jest to książeczka sympatyczna i pożyteczna. Jej zasadniczą tezę brzmi: "inteligencjo polska wyjdź z kruchty, przestań sprowadzać swą aktywność do modłów o nadzieję i obchodów kolejnych klęsk, weź się do roboty, a przede wszystkim zajmij się gospodarką!" Nic, tylko się podpisać. Ale czy pod całą się podpisać? Nie, nie pod całą /używając stylistyki Wierzbickiego/, bowiem pod tymi jej częściami, gdzie Wierzbicki rozprawia się z lewicą podpisać się niepodobne bez wzięcia rozbrautu ze zdrowym rozsądkiem i historyczną prawdą. Nawet jeśli jest się prawicowcem.

Prawica jest wedle Wierzbickiego katolicka, swojska, poczciwa, skłonna do autorytaryzmu, mało wykształcona, nacjonalistyczna. Jej bieżąca społeczna są prości ludzie. Lewica jest kosmopolityczna, niewierząca, chytra, skłonna do anarchii, dobrze sytuowana i ustawiona. Jej bieżąca są intelektualiści. Co więcej, lewica jest nietolerancyjna, krzykliwa i ms Polaków ze głupków. Lewica przed Sierpniem rozpuszczała niecne pogłoski, że tylko KOR-owcy to świetne postacie, a ludzie z ROPCio to kryptobucy /tu warto dodać, że smi przywódcy ROPCio byli skłóceni, o czym przypomina swet prwcowiec Józef Wierny we wspomnieniu tu już tekście w 6 numerze "Polityki Polskiej" z 1984 roku/. Lewica zwalczała Wsłesę, podwazała jego autorytet, uniemożliwiła wprowadzenie w Związku "dyktatury Lecha", przez co ponosi odpowiedzialność za grudniową klęskę /tu warto dodać, że przeciw Wałęsie występowali tacy ludzie jak Jurczyk czy Rulewski, których trudno nazwać lewicowcami, zaś za burze personalne w regionach też nie lewica ponosi odpowiedzialność, prawicowe i bardzo wtedy krzykliwe KPN - bądź bliskie mu osoby - powinny się tu mocno uderzyć w piersi/. Lewica dążyła do zniszczenia gospodarki, bowiem wyobrzała ją sobie jako samorządową anarchię stowarzyszoną z nieudolnością psnstwowego dyktatora /tu -

taj Wierzbicki pstrzy na gospodarke tsk jak przywoływany przezeń psro-
krotnie Mały Jęś z Krakowskiego Przedmieścia; gdyby patrzył choćby z
ulicy Żeromskiego albo Stalingradzkiej skąd bliżej do odnośnych fs-
bryk, może zachwiałyby się w tej rozcudzającej pewności siebie/. Lewi-
ca ns zebrsniu intelektualistów w Kurii krskowskiej zgodnie napada na
jedynego sprawiedliwego - był nim Stefan Kisielewski - za jego popar-
cie dla prywatnej gospodarki /byłem na tym zebraniu, przysłuchiwałem
się dość uważnie, sam zbierałem głos i mam skurat zupełnie odmienne
odczucie: nikt nie psstwił się nsd Kisielewskim, odbyła się nstomiast
polemika między Kisielewskim s Geremkiem o "etos lewicy"/. Lewica pro-
wodzi ohydną nsgonkę na Kościół i Prymasa zszrucając mu zbytnią ugo-
dowość /tu już szlsg mnie trafia, bo sam sz nadto dobrze psmiałam żar-
liwe staki moich gęboko wierzących przyjaciół ns prymasa Wyszyńskiego
w sierpniu 1980, jsk ns prymass Glempa w stśnie wojennym; s Jerzy
Giedroyc ostatnio tarmoszący Kościół w paryskiej "Kulturze", to też
lewics?/.

Pyskówkę z uproszczeniami i kawiarnianym widzeniem lewicy przez
Wierzbickiego można by ciągnąć stronicami. Choć Wierzbickiego wyjątko-
wo poniósł temperament felietonisty, od tego samego skrzywienia nie
są wolne i inne teksty napływające z prswa. Jest to jednsk spór mart-
wy i jałowy. Rzeczywisty problem lewicy, jej wielkość i tragedia leży
gdzie indziej.

Wierzbicki polemizuje z lewicą intelektualną, kawiarnisną, uniwer-
sytecką, tską jaka jest /ale też nie cślkiem/ dzisiejsza lewics w
USA. Moja droga prawico, która jesteś - jsk sams powidasz - "bar-
dziej narodowa niż kosmopolityczna" nie udawaj, że nie znasz historii
własnego krsju, że twójś wiedza ogrsnicza się do Krakowskiego Przed-
mieścia, kawiarni "Czytelnika" i okolic Central Parku ns Manhattanie.

A więc trzeba usiąść i trochę sobie poprzyćpomiąć. Przypomnijmy
więc, że rzeczywistość XIX-wiecznego kapitslizmu, przeciwko której w-
ystąpił ówczesns lewica - rzeczywistość slumsów Londynu i Manchesteru,
nędzy tkscopy lyońskich, chicagowskich rzeźni i łódzkiej "ziemi obiec-
nej", zskrzepłej w biedzie wsi i wydziedziczonych rzesz ludzkich szu-
kających szczęścia w okrutnie niesprawiedliwych miastach - nie jest
propagsndowym wymysłem "komuny" ale faktem historycznym w zasięgu pa-
mięci naszych dzisdów, a nawet ojców. Przeciwno tej rzeczywistości
nie wystąpił Kościół, bo pierwszy jego nieśmiały głos w obronie ludzi
pracy to encyklika "Rerum Novarum" Leona XIII opublikowana u schyłku
stulecia już po wzbreniu potężnej fali ówczesnego ruchu socjalistycz-
nego. To ten właśnie ruch był jedynym sktem solidarności w świecie
bez solidarności, a jego utopie jedyną propczycją innego porządku świa-
ta, niż ten, w którym zawsze zgodną rscję miał wsparty przez kapłns
baron lub fabrykant przeciw racji prostego człowieka. To przykre dla
wierzących, ale dzisiejsza nauks społeczna Kościoła nie objswiła się
w gotowej postaci w czassch Janów i Pawłów, lecz jest wynikiem długie-
go procesu stopniowego uznawania przez Kościół tskże praw prscy obok
własności; od spóźnionej i wzbrnsisjącej się od uznania nawet związk-
dów zawodowych "Rerum Novarum" aż po wychodzącą szeroko nsprzeci-
dzisiejszemu myśleniu "Lsborem Exercens". To właśnie ewolucja nsuki
społecznej Kościoła pokazuje jsk ustępował pod naporem potężniejącej
plebejskiej lewicy przejmując od niej to co najlepsze, wzbraniając
się wszak /i siłownie/ przed akceptacją rewolucyjnej utopii. Pisłem
o tym szerzej w 18 numerze kwartalnika "Krytyka" i może właśnie dla-
tego, że podobne przypomnienia przykre są dla katolików, przygotowy-
wany dls "Tygodnika Powazecznego" tekst "Miejsce spotksnis" mógł się
ukazać tylko w "II obiegu". To przykre również dla dzisiejszych praw-
icowych konserwstystów - niechętnie w swich pismsch przypominających
tamte czasy i tamte procesy - słe ten "wilczy" XIX-wieczny kapitalizm
nie zreformował się i nie przekształcił w dzisiejsze zechodnie "społ-
czeństwo dobrobytu" tylko na skutek dobrej woli właścicieli motywowa-
nych chrześcijańską etyką. To właśnie ten wielki i burzliwy plebejski

ruch socjalistyczny przechodzący od rewolucyjnych zrywów do parlamentarnej gry, a w XX wieku sięgający śmiało po władzę i wyborczy sukces, doprowadził do głębokich i skutecznych reform zabezpieczających prawa pracy obok praw kapitału, umożliwiających poszanowanie interesów różnych warstw i klas społecznych; on sprawił, że system skazany przez Marksa /przed owym procesem reform/ na nieuchronny upadek okazał się wciąż żywy, produktywny i zdolny do dalszych zmian. To właśnie socjaldemokracja typu zachodniego porzucając rewolucyjną utopię na rzecz reformatorskiej presji nadała współczesnemu kapitalizmowi te cechy, które dzisiaj konserwatyści uznają za "chrześcijańskie" i godne szczególnej estymy. Ruch socjalistyczny zwyciężył przede wszystkim na Zachodzie, choć zwyciężył zupełnie inaczej niż wyobrazili to sobie jego pełni rewolucyjnego zapału Ojcowie-Założyciele. I tak jak wszystkie ruchy, które spełniły swoje zadanie, osiągnęły cel, wszedł w okres kryzysu, a może i rozpadu. Wskazuje na to dowodnie dzisiejszy stan zachodniej socjaldemokracji.

Socjalizm zwyciężył także na Wschodzie. Także inaczej niż wyobrażali sobie to jego Wielcy, choć rewolucyjnie. Skutki w postaci totalitarnej oligarchii partyjnej znamy aż nadto dotkliwie. I tak jak każdy system kosztujący w niepodatnym na reformy, zbiurokratyzowanym kształcie, wszedł w fazę schyłku, pewnie długiego jak polarna noc, lecz nieuchronnego.

Socjalizm zwyciężywszy na Wschodzie i Zachodzie - choć wszędzie inaczej - schodzi z historycznej sceny. Przeminał układ klas i stosunków społecznych, z którego wyrastał. Rewolucyjne utopie pokazały swą totalitarną realność. A dobroćliwość zachodniego "społeczeństwa dobrobytu" też ma swoje granice, bo w ostatecznym rachunku hamuje przedsiębiorczość i uczy życia na cudzy koszt. Pozostały tylko wartości, w imię których występowali dawni socjaliści, wartości - jak sądzę - bliskie nie tylko mnie, ale także katolickim prawicowcom, choć inaczej będziemy rozkładać akcenty i o niektóre z nich toczyć będziemy ostry spór. Pozostaje też wiedza o dziejach społeczeństw i ich bolesnych skurczach, wiedza, od której - tak na prawicy, jak na lewicy - nie wolno odwracać oczu, nawet jeśli jest nie w smak naszym dzisiejszym zawierzeniom.

Ale teraz właśnie, w tym schyłkowym i skarykaturowanym "realnym socjalizmie" warto szczególnie pamiętać o hasłach, pod jakimi wystąpiali ci niegdyś socjaliści w okresie świetności i największych sukcesów swego ruchu: było to nie tylko wołanie o prawa związkowe i 8 godzinny dzień pracy, ale o wolność jednostki, powszechne prawo wyborcze, zniesienie cenzury, niepodległość uciemiężonych narodów. Trzeba je przypominać zwłaszcza teraz, kiedy "realsocjalistyczne" państwo coraz mocniej sięga w swej obronie po hasła tradycyjnej prawicy: poszanowanie autorytetów, władza dla elity /tu: biurokracji partyjnej/, siła państwa, ład i porządek, a nawet swoiście pojęty nacjonalizm. Z tej perspektywy anachronicznie błądzi zarówno ten, kto chciałby reanimować dawny, skłócony z Panem Bogiem i wierny swej złudnej utopii socjalizm, jak i dawną sztywną, zhierarchizowaną, elitarną prawicę. Zorientowanie się poniewczasie, iż jest się sługą zupełnie innego pana, byłoby tu chyba nie najbardziej nawet gorzką z możliwych pomyłek.

Wszystko się pomieszało. Został tylko podwójnie oszukany polski plebej, który w ostatecznym rachunku zawsze płacił i płaci za wszystko. Remanentem po pięknych tradycjach i dokonaniach ruchu socjalistycznego w Polsce nie jest bynajmniej uniwersytecki intelektualista ani nawet sympatyk KOR-u z ciepłym jeszcze miejscem po partyjnej legitymacji w kieszeni, ale robotnik, chłop, rzemieślnik, szeregowy inteligent, który krwawił w Legionach i w wojnie 1920 roku, który wyniósł socjalistę Piłsudskiego do władzy, który nic nie skorzystał na porzowanej przez tamtą Rzeczpospolitą reformie rolnej, padł ofiarą Wielkiego Kryzysu i dopiero trochę pozbierał się w okresie COP-u i gospodar-

czych dokonań ekipy Eugeniusza Kwiatkowskiego. To do niego strzelano w robotniczych demonstracjach 1937 roku, w chłopskich strajkach na Rzeszowszczyźnie. To on bojkotował sanacyjne wybory /Boże, jak szybko zapominają apologety "Dziadka" o tej fatalnej i antydemokratycznej polityce sanacji, która prowadziła do Berezy Kartuskiej i do BBWR-u czy OZN-u, tych protoplastów dzisiejszego PRON-cia!/. On zaciśkał bezsilnie pięści w wrzesniowej kłęsce, jego rozstrzeliwali hitlerowcy i wywozili na Kołymę "wyzwoliciele" ze wschodu. To jego dzieci zapisywały się w 1945 roku do ZWM, a potem budowali Nową Hutę i wstępowali do partii, nawet bez jakiegokolwiek znajomości komunistycznej doktryny, ale po prostu dlatego, że nowa władza szeroko otworzyła drzwi do wykształcenia, awansu i stanowisk, że w fabryce /jak u mego ojca/ nie było już francuskiego właściciela tylko kreowany z robociarza "ludowy" dyrektor, że wieś mogła nareszcie nasycić się swoją własną ziemią. To znów do tego samego polskiego plebeja strzelano w Poznaniu, w Gdańsku, Szczecinie, w kopalni "Wujek" wreszcie. To on na własnej skórze poznał całą marność ustroju, który miał być realizacją jego socjalistycznych rojeń. To późne wnuki tamtych z PPS-u i NPR-u tupały na "komunę" w "Solidarności" same nie wiedząc, że występują pod hasłami sprzed dwu pokoleń. Tak, to ci właśnie ludzie, o których mało kto dziś pamięta w naszych posolidarnościowych dysputach rozpolitykowanych inteligentów: po wielokroć wyprowadzeni w pole, sfrustrowani, zmęczeni, pozostawieni samym sobie. A tylko niektórzy z nich okazali się "ludźmi z żelaza". Przecież zabrano im wszystko, podeptało i opluto ich wszystkie świeciki - by nie powiedzieć już: "socjalistyczne" - zawierzenie, pozostał im tylko powrót do Kościoła. Nawet Lecha opluwa zgodny chór płynący tak z telewizora, jak i z opozycyjnych pogaduszek.

To wobec nich, wobec tej "milczącej większości" narodu, wobec polskiego współczesnego - wykształconego i wyemancypowanego, lecz pogrążonego w ideowej zapaści i ratującego się z niej tylko kościołem - plebejusza, musi opowiedzieć się każda polska myśl niezależna, obojętnie lewicowa czy prawicowa. I jego surowego, choć nieskwapliwego osądu nie uniknie. Nie wobec Krakowskiego Przedmieścia. Ono sobie zawsze da radę, ono sobie to wszystko najszybciej zracjonalizuje i pierwsze wsiądzie do odjeżdżających we właściwą stronę pociągów.

Teraz jeszcze:

DYGRESJA SEMANTYCZNA

Po tym wszystkim co zaszło w świecie, a zwłaszcza w Polsce, podział wywodzący się z XIX-wiecznego parlamentu traci sens. Zawaliło się lub odeszło w przeszłość prawie wszystko na czym się opierał. Wiem, żeśmy przywiązani do pojęć "lewica" - "prawica" tak jak ja sam jestem przywiązany do określającego moją osobistą treść i moje zawierzenia określenia: "socjalista". O wiele bardziej odpowiada mi jednak stwierdzenie Władimira Bukowskiego, który pytany po swym wyjeździe z ZSRR na Zachód o ideową opcję rzekł: "nie jestem z obozu lewicy ani prawicy, jestem z obozu koncentracyjnego". Bowiem wydaje mi się, że coraz bardziej dominującym we współczesnym świecie jest podział wokół praw i powinności osoby ludzkiej, tak jak w dawniejszym świecie był nim podział wokół pracy i kapitału. Wielkie i niemożliwe do zasypania pęknięcie między totalitaryzmem a demokracją powinno wyznaczać naszą dzisiejszą wspólnotę, nasz front i naszą pracę.

Nie wiem jak będzie jutro, nie wiem co się z tego wykluje. Ale na pewno nie będzie tak jak wczoraj.

DYGRESJA EKONOMICZNA

O gospodarce trzeba dyskutować ze znajomością gospodarki. Także gospodarki zachodniej i to widzianej nie tylko przez witraż tamtejszego sklepu albo rzemieślniczego warsztaciku. Zgadzam się z moimi prawnymi oponentami, że samorząd nie jest jedynym sposobem na uzdrowienie gospodarki polskiej. Ale na pewno nie jest to - jak chce Wierzbicki i szereg innych piszących o tym właśnie z perspektywy Krakowskiego Przedmieścia autorów - nieudolność socjalistycznych dyrektorów plus warcholstwo dopuszczanej do współzrządzenia załogi. Ci autorzy jakby nic nie wiedzą o preferującej nieudolność nomenklaturze partyjnej. Właśnie samorząd powołujący dyrektora miał być sposobem na częściowe choć tej nomenklatury rozbicie. Przeciwnie w dzisiejszym kapitalizmie dyrektor jest powoływany zwykle przez akcjonariuszy. Henry Ford nie chodzi już oświadczenie po hali fabrycznej nadzorując "pańskim okiem" sprawność całej roboty. Koncentruje się na sprawach sztabowych, a nie raz - jak pokazują to niedawno opublikowane pamiętniki najwybitniejszego dziś menadżera USA, niegdyś dyrektor u Forda, Lee Iecoca - przeskądza i psuje. Chodzi o to, aby kreować mechanizm, który na dyrektorskie fotele nad Wisłą wysuwa takich ludzi, a nie posłuszne miernoty. Własność w krajach zachodnich jest dziś rozproszona i anonimowa. Czasy, kiedy właściciel był jednocześnie dyrektorem i sam zarządzał firmą należą do zamierzchłej przeszłości, ma to miejsce tylko w małych przedsiębiorstwach. Dlatego nadzieje Kisiele czy Wierzbickiego na zjednoczenie tych wszystkich funkcji są tylko projekcją na ekran wielkiej gospodarki wiedzy wyniesionej z małego warsztaciku. Problemem polskiej gospodarki nie jest bynajmniej pytanie: jak odbudować tu kapitalizm? Tylko szalenieć będzie wyprzedawał dzisiejszy majątek narodowy i pewnie tylko szalenieć kupiłby Hutę "Katowice" albo Stocznię Gdańską. Problemem jest przejście od tej gospodarki, która jest, do gospodarki efektywnej, dopuszczającej wszystkie możliwe formy ekonomicznej aktywności bez względu na to, czy są prywatne, państwowe, samorządowe czy jakiegokolwiek inne. Gospodarki odrzuconych dogmatów, wolnego rynku i współzawodnictwa różnych form własności bądź zarządzania. Nie trzeba też streszyć bezrobociem: ta gospodarka jest tak rozbudowana, ma tyle rezerw i pracuje dziś nie tak zwolnionych obrotach, że jakiegokolwiek realny rozruch spowoduje w pierwszej przynajmniej fazie wzrost, a nie spadek potrzeb zatrudnieniowych. Bać się mogą zdeprawowane przez "real socjalistyczną" tolerancję obiboki, tych jest rzeczywiście sporo. Prawicowi autorzy, tak realistyczni w politycznych ocenach, w kwestiach gospodarczych wykazują zdumiewającą naiwność i brak wiedzy. Jedynym w tej kwestii kompetentnym artykułem w prawicowej prasie krajowej, jaki mi wpadł w ręce, był tekst Wojciecha Wasiułyńskiego w tymże 6 numerze "Polityki Polskiej".

Na koniec powiedzmy sobie nareszcie:

JAKA PRAWICA JEST NIEPOTRZEBNA ?

1) Triumfalistyczna

Prawica święci dziś swój triumf nad lewicą. Nie pierwsza to w dziejach nauka, że wystarczy dość długo poczekać, przeczekać zwycięstwo strony przeciwnej, aby doczekać się własnego. Wynikają stąd dwie uwagi, które niniejszym wpisuję do prawicowego sztambucha. Po pierwsze: polityka jest "wahliwa", nastroje przelewają się pomiędzy przeciwnymi biegunami, tym więcej, że żaden z nich nie ma recepty na zbawienie świata i każdy z nich rozwiązuje jedno, zastrza inne problemy. Tak więc dzisiejsze koncepcje "idącej w górę" prawicy też ulegną wyczerpaniu i nastroje przeleją się w inną stronę; choć na pewno nie będzie

tą stroną lewica tradycyjna XIX-wieczna. Jaka? - nie wiem, zbyt długa to perspektywa. Po drugie: triumfując niby święty Jerzy nad czerwonym smokiem najłatwiej popada się w błędy i zaczadzenia. A szkoda by było, bo dzisiejsza "nowa prawica" /nie ta tradycyjna XIX wieczna/ ma przed sobą obiecującą przyszłość i wiele roboty do wykonania.

I jeszcze jedno. Ta niegdyś lewica prawica reprezentowała reelne interesy posiadaczy, arystokracji pieniędzy i tytułów, związanego z nimi i mającego w owym czasie kleru. Przecież dziś te wszystkie grupy zostały zmiecione z historycznej sceny... Na pewno - choć to może seemym prawicowcom niemiłe - dzisiejsza prawica reprezentuje interesy grup inteligencji polskiej blisko związanych z Kościołem. Nazwijmy to imieniem. A reszta? Czy nowa prawica polska potrafi zaproponować coś sensownego tym, o których się tu upomniałem, polskim rzeszom plebejskim zbrzydzonym do "realsocjelizmu"? Wystąpić w obronie ich interesów? Przecież dzisiejsza nowa prawica zachodnia jest prawicą populistyczną, prawicą także "prostego człowieka", oferując mu więcej ładu, więcej miejsc pracy i mniejsze podatki. Dziś wielki - lecz jeszcze nie całkiem uświadomiony - ruch Polaków ku prawicy motywowany jest owym zbrzydzeniem. To za mało, to nie starczy na długo, proszę szanownych prawicowców.

2) Zakompleksiona

Przed prymitywną antylewicowością płynącą z kompleksów przestrzega już swych kolegów cytowany Józef Wierny. Tego "paliwa" starczyłoby rzeczywiście na bardzo krótko... Ale nie tylko o tak prymitywne kompleksy chodzi. Stefan Kisielewski w opublikowanym swego czasu w "Kulturze" a przedrukowywanym przez wiele czasopism niezależnych "Szkicu do programu opozycji" proponuje całkiem sensowny program dla partii drobnych posiadaczy. Są przecież takie partie w normalnym demokratycznym spektrum polityki. Ale kiedy zarzuca "Solidarność", że uległa komunistycznemu mitowi "klasy robotniczej" ponieważ na Zachodzie liczba robotników, a wśród nich członków związków zawodowych, od wielu lat maleje - to wówczas mamy manowce tak oczywiste, że nawet prawice powinny się nad nimi zastanowić. Polska ma taki model gospodarczy i takie społeczeństwo, jakie ma; Zachodem prędko się nie stanie, w istniejącym zaś społeczeństwie robotnicy są siłą odgrywającą rolę olbrzymią. Trzeba więc mieć im coś sensownego do zaproponowania, nie zaś strożyć się i odymać.

3) Elitarna

Mówienie o elitach jest ulubionym tematem prawicy. Taka jest zresztą jej tradycja i rodowód. Elity są potrzebne każdemu ruchowi. Tylko, żeby nie było tak, iż elita występuje zamiast ruchu, zamiast społeczeństwa nawet. Taka jest także tradycja prawicy i dzisiejsza nowa polska prawica - jeśli chce mieć coś sensownego społeczeństwu do zaproponowania - powinna być szczególnie uczulona na tę swą wrodzoną skłonność. Zwiększajmy dziś, kiedy nie istnieje normalne życie polityczne, kiedy wolna wymiana myśli odbywa się pokątnie, a partie polityczne miewają rozmiary jednej kanapy z dostępem do powielacza. W takich zwłaszcza warunkach rodzi się skłonność by zasklepić się we własnej elicie i ewentualnie z inną elitą zawierać polityczne układy, których i tak nie pojmie tłum niewykształconych prostaków /termin: "motłoch kolejkowy" u Wierzbickiego/. Babcie drodza koledzy prawicowcy, byście kiedyś nie powiedzieli sobie "elita się jakoś wyżywi", bo będzie to znaczyło, że w waszej wysublimowanej elitarności poszybowałeś już tak wysoko, że z "motłochem" nie łączy waa już nic, prócz niechęci do komunizmu. A to właśnie najszersze rzesze ludzkie decydować będą o czekających nas społecznych burzach i o tym, co się z nich wy-

kluje. Pamiętajcie raczej, że nowa prawica zachodnia jest właśnie populistyczna, że to właśnie robotnicy amerykańscy są jedną z ważniejszych sił głosujących na Reagana.

No i ten język! Większość publikacji prawicowych jest pisanych tak, jakby nie miały być czytane poza elitą. Chyba, że...

4) Przyzwalająca

Wspomniany Józef Wierny w "Polityce Polskiej" skreśla wszystko: strajki, demonstracje, ideę "miedzymorza", przesłanie do krajów Europy Wschodniej ze zjazdu "Solidarności", "ekscytację" prawami oźłowieka, społeczeństwo podziemne, Wierzbicki skreśla nawet samorządy pracownicze. Zarzucają natomiast "Solidarności" i ruchowi pośOLIDARNOSCIOWEMU brak myśli państwowotwórczej i przerost demokracji. Poniekąd racje. Ja też jestem za rozumnym realizmem i pewnie poskreślałbym co nieco. Ale uderza znamienne zbieżność pomiędzy tą krytyką niezależnych "realistów", a antysolidarnościowymi napaściami rządowej propagandy. Pomiędzy argumentami "Polityki Polskiej" a argumentami PRON-u. Oczywiście, że nie wszystko co mówi Urban, to kłamstwo, a nie wszystko, co było w "Solidarności" to świętość. Ale postępując tą likwidatorską ścieżką bardzo łatwo dojść nią tam, gdzie chyba nie chce się być.

To nie jest nawet krytyka. To jest tylko przestroga przed tym, co może stać się jutro. Przed prawicowym przyzwoleniem na zbyt wiele. Tym więcej, że w pogrudniowej Polsce władza tak lekką ręką sięga po tradycyjne argumenty prawicy.

A tytułowe pytanie z "Polityki Polskiej": JAKA PRAWICA JEST POLSCE POTRZEBNA? Nie jestem jego adresatem. Jak by powiedział Jacek Fedorowicz: nie moja to mała i nie muszę jej mówić "babciu". Odpowiedzą na nie sami prawicowcy.

JERZY SURDYKOWSKI

Aleksandra Bolesławskiego liberalne „szkiełko i oko”

W dwóch kolejnych numerach /8 i 9/ golicyjskiej "13-tni" ukazały się teksty Aleksandra Bolesławskiego. Programowo określa się w nich jako zwolennik "szkiełka i oka" w opozycji do romantyków, którzy odwołują się do tradycji rozumianej jako przeszłość aktywnie kontynuowana i przekształcana. Z takich założeń przeprowadza analizę "świadomości społecznej, sytuacji ideowej jaka towarzyszyła zawieraniu siarpiowych porozumień...", co mogłoby być cennym przyczynkiem do zrozumienia tamtych wydarzeń. Mogłoby być... ale nie jest...

Bolesławski w swoim ostatnim wcieleniu /opisanym na 23 stronach pozuje na, czy też uważa się za liberała, a ściślej za jego lokalne, nadwiślańskie, liberalno-chrześcijańsko-endeckie wcielenie. Jest to coś, co z racjonalnym podejściem mało ma wspólnego, zarówno w warstwie e-nalitycznej, jak i w sformułowanych dezyderatach.

Nie sposób choćby w skrócie przybliżyć czytelnikowi wszystkich wątków poruszanych przez Bolesławskiego. I nie jest to wina piszącego. Można jednak spróbować wyczytać z tekstów myśl przewodnią. Sprowadza się ona do stwierdzenia, że Naród dopiero raczkuje w dziedzinie ekonomii, a winę za to ponosi lewica. Zaś sam eutor ogromnie bliski jest

wejścia w posiadanie kamienia filozoficznego, który wszystko zmieni... Aby "kamień" osiągnąć - stwierdza Bolesławski - należy wykonać kilka ruchów, ale "ważniejsze jest jednak określenie charakteru przywilejów, których utrzymanie wynagradzałoby /warstwom politycznie uprzywilejowanym PRL - przyp.mój/ utratę innych, konieczną dla odblokowania inicjatywy jednostek, uruchomienia normalnej wymiany i ożywienia gospodarki w interesie obu stron - z zyskiem moralnym dla każdej z nich..."

I tego właśnie brakowało w porozumieniach sierpniowych - zdaniem autora.

Tak to liberełny mit o prymacie ekonomii nad innymi sferami życia publicznego mógłby spotkać się - według opinii Bolesławskiego - i to niemal bezkonfliktowo z komunistycznym mitem o prymacie tej samej ekonomii /tzw. bazy/ nad nadbudową. Na gruncie tegoż mitu ekonomicznego ma dojść wreszcie do trwałego rozegrywania dwóch ideologii. I to jest Bolesławskiego "kamień filozoficzny".

Może należałoby szepnąć panu Bolesławskiemu, że "Rzeczywistość" już dawno wpadła na identyczny pomysł z tym, że oni /ci z "Rzeczywistości"/ jeszcze chcą paru Żydów wytluc. A reszta tak samo jak u Bolesławskiego: wielka i czysta miłość na gruncie totalizmu.

Spróbuję wyliczyć podstawowe słabości "myśli" Bolesławskiego, która tonie w nadmiarze środków leksykalnych.

Słabością numer jeden jego liberalnego myślenia jest całkowity brak racjonalnej oceny tego czym jest komunizm, czy też jego jedyna praktyczna wersja - realny socjelizm. Nie dotarło do autora, że fikcja totalnego panowania nad światem realizowana jest również poprzez zupełne sensowną, z punktu widzenia fikcji, politykę ekonomiczną. Wszelkie próby jej liberalnego "racjonalizowania" muszą się spotkać w Moskwie ze zdecydowanym odporem. Może ktoś powiedzieć, że gospodarkę wojenną można prowadzić bardziej efektywnie /tj. na modłę gospodarki rynkowej/, tylko ten ktoś nie uwzględnił podstawowego faktu, że komunizm jest ruchem ku panowaniu nad światem. W jego logice nie leży ograniczenie własnego pędu przez budowę struktur, w tym liberalnych struktur ekonomicznych. Reforma kádarska, czy PRL-owskie przymiarki dowodzą co najwyżej słabości centrali uwikłanej w bardziej skomplikowane problemy wewnętrzne i zewnętrzne. A może po prostu gdzieś na obrzeżach bloku można, e nawet trzeba trochę poeksperymentować?

Logika ruchu komunistycznego mówi też, że podbite narody, w tym i rosyjski, mają być "bojownikami o przodującą ideę" a nie "zapasyonimi burżujami", nabijającymi sobie i "czerwonym" kabzę... Już tak zupełnie na marginesie można wspomnieć, że w mentalności najeźdźcy skarby podbitych krajów jawią się jako bardziej pojętne niż pracowicie uciążone czy wyciskane z poddanych w swoich rodzinnych stronach. Proteksjonalne poklepywanie komunistów à la Bolesławski: wiemy, wiemy, wy jesteście tacy zdziwi i nieokrzesani, ale zmądrzejecie i na naszą wolnorynkową wiarę wcześniej czy później nawrócicie się - musi co bardzo naszych władców i cieszy i śmieszy zerazem.

Słabością numer dwa jest instrumentalne traktowanie przez autora Kościoła. To zapewne spadek po nurcie endeckim. Nikt, kto dokładnie przeczytał choćby "Zapiski więziennicze" prymasa Stefana Wyszyńskiego nie ma wątpliwości, że myśl Prymasa sięgnęła przyszłości, w której komunizm straci swe imperialne żądło. Nie ma jednak w "Zapiskach..." ani jednej sugestii, że przejście przez komunizm to "najdłuższa droga do kapitalizmu". A tak wszak widzi to Bolesławski. Prymas, co nie ulega wątpliwości, znał stanowisko Rzymu, wrogię zarówno komunizmowi jak i liberalizmowi. Z punktu widzenia etyki chrześcijańskiej "nie-widzialna ręka" wolnego rynku jest tworem ludzkim w tym samym stopniu, co i kolektyw. Podlega więc ocenie etycznej, ocenie jednoznacznie krytycznej, gdyż obie te koncepcje godzą się z dehumanizacją człowieka.

Bolesławski wybrzydza na poszukiwanie "trzeciej drogi" przez lewicową demokratyczną w czasie, gdy podobne rozwiązania społeczne akceptowane są przez naukę społeczną Kościoła. Może to Bolesławski wyczyteć

choćby w "Laborem Exercens". Kościół oczywiście nie rości sobie prawa do dawania rozwiązań politycznych, społecznych czy ekonomicznych. Tym bardziej więc dostrzeganie w Nim narzędzia wojującego liberalizmu jest nieporozumieniem. Chyba, że autor traktuje poważnie wyczyny komunistycznej propagandy.

Słabością numer trzy Bolesławskiego jest doktrynalna antylewicowość, oszczędzająca jednak komunistów - ci bowiem nie wiedzą co czynią, a ściślej nie wiedzą jakich chcą przywilejów. To dla liberalnego racjonalisty Bolesławskiego jest wybacalne. Demokratyczna lewica - zastępi ludzi z kart "Rodowodów niepokornych", czy też byli komuniści, zdaniem autora, wszystko wiedzieli, problemy ekonomiczne ukryli i manipulowali tak, że przeszkadzili liberałom w podpisaniu innych porozumień sierpniowych. To, że tych liberałów ani wtedy, ani wcześniej i na dobrą sprawę do dzisiaj w Polsce nie ma i nie było, wcale Bolesławskiemu nie przeszkadza!

Słabość czwarta - to autora postendeckie mizmaty, zatruwające nieco współczesną myśl pravicową. Flirt liberałów z "13-tki" z Kościołem wydaje się równie nieszczerzy, jak nieszczerzy był w latach 30-tych. Tamten bazował na przekształcaniu antyjudaizmu religijnego katolików w złowieszcze narzędzie totalizmu - antysemityzm. Współczesny bazuje na fakcie włączenia w katolicką doktrynę praw człowieka i obywatela - niewątpliwego dorobku myśli i praxis liberalnej. Towarzyszy temu nadzieja, że Kościół pobłogosławi "niewidzialną rękę" wolnego rynku.

Są jeszcze u Bolesławskiego myśli nie tyle "staroświeckiego Polaka", ale zupełnie jakby "en vogue", zdradzające tęsknotę za Wodzem pisany z litery "W". Niechby tylko tego "W" przestali otaczać ci niedobrzy lewacy i salonowcy, a świat autorytarny /mówiąc ostrożnie/ stałby się znowu zupełnie piękny - taka jest główna konkluzja autora w tej kwestii.

Tyle o tekstach A.Bolesławskiego zamieszczonych w "13-tce". Nieszczęścia chodzą parami - powiedział kiedyś ktoś... I oto w piśmie "Dzień 1394" z dnia 6 października br. opublikowano "wywiad z działaczem "Solidarności"". Działacz zachował, co zrozumiałe, incognito. Czytając jednak ów wywiad nie sposób oprzeć się wrażeniu, że mówi to Bolesławski, czy też jego echo. Nie piszę tego po to, by szerzyć plotki. Piszę dlatego, że uderzyła mnie identyczność poglądów i opinii działacza z tymi, które głosił w "13-tce" Bolesławski.

Trudno byłoby znaleźć w całej naszej pogrudniowej prasie wyznanie tak głęboko sfrustrowanego, zagubionego i nadrabiającego bufonadą w stylu: "JA po TKK obecnie nie oczekuję już niczego" - słowem człowieka pozbawionego resztek jakiegokolwiek siły moralnej. Wręcz wydaje się, że ów działacz swoje działaczowskie powołanie przegrał. Znaczyłoby to, że raczej nie jest już działaczem.

Skąd to przypuszczenie? Otóż stąd, że ongić "po złapaniu" w podobnym stylu mówił do nas drewnianym głosem Władysław Hardek z ekranu telewizora.

Alé czego nas chce nauczyć, co nam chce sprzedać ów ponoć działacz "Solidarności"? I po co?

- To, że jesteście grupką sekciarskich lewaków /anarchosyndykalistów/ - to już powiedział w USA Jaruzelski.

- To, że "ugoda sierpniowa była nierealna..." - fakt, tego nie mówi nawet Jaruzelski, a tylko Bolesławski.

W zasadzie należałoby powiedzieć: dajmy już spokój działaczowi z niedostatkiem woli.

Zawsze jednak korci, by zastanowić się, jakie jest źródło osobistej porażki takiego człowieka? Może tkwi ono w intelektualnym zespokulowaniu się na śmierć...? Może... W końcu świat, który nas otacza jest rzeczywiście niezwykle skomplikowany, ale nie na tyle, by nie

dało się pewnych rzeczy w sposób najprostszy uporządkować. Świat sprowadzony do rozmiarów PRL A.D.1985, zwłaszcza po wyborach, pozwała na kilka generalizacji:

1. Opozycja: my - oni nadal jest praktycznie i społecznie czytelna.
2. Wspólnym mianownikiem "my", ponad wszystkimi wewnętrznymi podziałami, jest sytuacja pracobiorcy, któremu odbiera się kawałek po kawałeczku wszystko, co z takim trudem zdobył.

3. Wbrew aktualnej opinii a zgodnie z logiką polskiej rewolucji, wykładnikiem emencypatywnych dążeń praktycznych społeczeństwa stał się niezależny ruch związkowy. Czy to wystarczy? Nie wiem. A jak się nie wie, to w naszej cywilizacji najczęściej sięga się do Greków. Odwołam się więc do Arystotelesa. Czytamy u niego, że naturalny podział polityczny w greckiej polis miał odpowiadać grupom zawodowym. Europejska historia przed-komunistyczna poszła inną drogą. Europejska historia postkomunistyczna jest jeszcze białą kartą, na którą wpisano pierwsze hasło: NSZZ "Solidarność" - czyli organizację zawodową o olbrzymim ładunku politycznym.

4. Sto lat temu pewien robotnik, Samuel Gompers, stanął przed Komisją Senacką Stanów Zjednoczonych by odpowiedzieć na jedno pytanie: czego chcą związkowcy? Odpowiedział krótko: "More" /więcej/. Ten człowiek w rok później, w 1886, stanął na czele nowej organizacji Amerykańskiej Federacji Świata Pracy - AFL; protoplasty dżiciejszej ALF-CIO. To jedno słowo: "więcej" wyrzuciło prorocтва Marksa na śmietnik historii. Kapitalizm tak ukochany przez liberałów przetrwał ze wszystkimi swoimi demokretycznymi zdobyczami, ale też i zmienił się nie do poznania.

Nikt owego "więcej" nie dał Amerykanom za darmo. Musieli walczyć, strajkować, manifestować, pisać petycje, naciskać. Poleło się sporo krwi.

Jeżeli TKK i Wałęsa intuicyjnie trzymają się logiki polskiej rewolucji, jeżeli świadomie czy nie, widzą, że trzeba mówić po związkowemu "więcej"... Więcej chleba, swobód politycznych, wolności, radości... i odideologizowanej ekonomii też, to właśnie oni mają rację, a nie zgorzkniały, przegrany działacz "Soliderności".

MARIAN KRAWCZYK

DOKUMENTY

HOMILIA WYGŁOSZONA 10.XI.1985 W KOŚCIELE MATKI BOSKIEJ ZWYCIĘSKIEJ W KRAKOWIE NA MSZY ŚW. ZA OJCZYZNĘ I WIĘZNIÓW POLITYCZNYCH

Na zakończenie Tygodnia Modlitw w Intencji Więźniów Politycznych przychodzimy na to miejsce, do którego przed wielu laty podążały kroki Człowieka - wtedy robotnika "Solwayu" - a dziś Papieża Polaka. Przychodził na to miejsce, gdzie wtedy stała drewniana kaplica, przychodził tu, by modlić się, a także by pytać Chrystusa: co dalej czynić? "Wówczas to - wspominał te lata jako Kardynał krakowski - w okresie okupacyjnym, tutaj spotykaliśmy się z Chrystusem i spotykaliśmy się ze sobą wzajemnie, ażeby potem móc sobie patrzeć w oczy przy warsztacie pracy, na halach fabrycznych, przy wysokich piecach wapiennych, w kamieniołomie... Przecież ten kościół jest także wielkim warsztatem pracy, warsztatem, na którym kształtują się ludzie".

I my dzisiaj przychodzimy na to miejsce, aby pytać Chrystusa: "I co dalej?"

I my dzisiaj, w przededniu Dnia Niepodległości, przychodzimy do tronu Matki Bożej Zwycięskiej zapytać ją: "jak zwyciężyć zło?"

Poprzez wieki historii naszego Narodu Maryja, Matka Bożego Syna, była i jest nierozdzielny elementem jego dziejów. Obraża sobie ten kraj nad Wisłą i zarówno pod Grunwaldem, jak i w czasie szwedzkiego najazdu, pod Wiedniem i w roku 1920, w czasie drugiej wojny światowej, a zwłaszcza w czasach powojennych była Ta, która umacniała w narodzie polskim nadzieję.

W czasach zaborów, zwłaszcza na terenie zaboru rosyjskiego, czynnik religijny i maryjny dominował w manifestacjach patriotycznych. Carscy czynownicy walczyli również i z pieśniami maryjnymi, które rozbrzmiewały w kościołach. Szukano po domach obrazków z Jej wizerunkiem i zdzierano obrazy z drzwi domów i murów kamienic, naklejona jękyb niepisane ulotki.

Maryja była zawsze dla Narodu Matką, podtrzymującą swe dzieci w wierze i nadziei, że odmieni się los udręczonej Ojczyzny. W swoim obrazie dotarła również w sierpniu 1980 roku do Gdańskiej i Szczecińskiej Stoczni, dotarła do kopalń na Śląsku i do hut w Warszawie i Nowej Hucie. Była przy kolejnym zrywie patriotycznym Narodu, była przy rodzeniu się Solidarności. Pamiętamy tamte dni, w które z troski o dom ojczysty, w bólu, w umęczeniu fizycznym i duchowym, na kolonych i z różańcem w rękę, przy polowych ołtarzach, z religijnymi i patriotycznymi pieśniami na ustach, w rozpaczliwym wołaniu robotników o godność człowieka i pracy, z poparciem inteligencji i świata kultury rodziła się Solidarność Polskiego Narodu.

Solidarność Narodu miała już swe korzenie w poprzednich wołaniach o prawdę i sprawiedliwość z roku 1956, 1968, 1970 i 1976. Miała swe korzenie we łzach, krzywdzie i krwi robotniczej, miała swe korzenie w poniżeniu młodzieży akademickiej. Dlatego szybko się rozrosła w potężne drzewo ogarniające swoimi korzeniami cały kraj. I chociaż rozwijała się burzliwie, to jednak przez piętnaście miesięcy jej legalnego działania nikt z jej winy nie został zabity ani nawet raniony. Solidarność zrodzonej w sierpniu 1980 roku nie wolno nam ograniczyć tylko do związku zawodowego o tej nazwie, który ukształtował się parę miesięcy później, ale to przede wszystkim dążenie całego narodu ku prawdzie, sprawiedliwości i wolności. Potwierdzeniem, że była to Solidarność całego Narodu jest również fakt, że stan wojenny wprowadzono przeciwko całemu narodowi, a nie tylko przeciwko związkowi zawodowemu.

Solidarności Narodu została zadana rana, która ciągle krwawi, ale nie jest to rana śmiertelna, bo nie da się usmiercić nadziei. Dziś coraz bardziej widzimy, że nadzieje z sierpnia 1980 roku żyją i przynoszą owoce. Dzisiaj one są cenniejsze, bo weszły do ludzkich serc i umysłów. Tego, co jest w sercu, co tkwi głęboko w człowieku, nie da się zlikwidować takimi czy innymi ustawami. Można zakazywać używania słowa "solidarność", ale nie można go wyrwać z ludzkiego serca, bo Solidarność to nadzieja na zaspokojenie głodu ludzkiego serca, głodu miłości, sprawiedliwości i prawdy. Nie wolno słowem "solidarność" poniewierać i zamykać go w rzekomo niechlubnej przeszłości. O słowie tym powiedzciej przecież Ojciec Święty, że jest "chlubnym słowem", słowem, które nagrodzono najwyższym światowym odznaczeniem, Pokojową Nagrodą Nobla.

Nadzieje z sierpnia żyją, a my mamy moralny obowiązek pielęgnować je w sobie i z odwagą umacniać w naszych braciach. Trzeba pozbyć się lęków, bo mamy obowiązek, jako obywatele tego Narodu, domagać się, by nadzieje nas wszystkich zaczęły się wreszcie realizować. Trzeba nam to czynić z odwagą i rozumą. Zdajemy sobie sprawę z sytuacji geopolitycznej w jakiej się znajdujemy, ale jednocześnie ta sytuacja nie może być wygodną zasłoną dla rezygnacji z należnych narodowi praw.

Gdyby popatrzeć na pracę Kościoła w naszej Ojczyźnie po drugiej wojnie światowej, nie sposób nie dostrzec jednego kluczowego zadania - jak ocalić nadzieję w Narodzie, który raz po raz jest wystawiany na ciężkie próby nadziei. I w tym miejscu mądrym nauczycielem jest Norwid, który pracował około polskiej nadziei w czasach o wiele trudniejszych, w czasach, w których nie było polskich robotników, nie było narodowo uświadomionego chłopstwa, nie mówiąc o tym, że był tylko wiersz o Papieżu, jako jedno więcej merzenie. I tenże Norwid powiedział: - A nadzieja jest z prawdy; im więcej prawdy, tym więcej nadziei. Jeżeli chciesz mieć nadzieję, szukaj prawdy. Może właśnie dlatego dzisiaj jest w nas więcej nadziei niż było przed rokiem, czy dwoma, czy pięcioma laty - dlatego, że jest mniej złudzeń, a gdzie jest mniej złudzeń, jest też głębsza rzetelność.

Bez złudzeń więc mamy prawo domagać się szczerego dialogu, mając na uwadze dobro Ojczyzny. Trzeba wspólnego stołu z autentycznymi przedstawicielami narodu. Z tymi, którym naród zaufał i tego zaufania nie cofnął, a nie stwarzać złudzenia rozmów ze sztucznie powołanymi do istnienia organizacjami. Kiedyś pisali Biskupi polscy, że stronami umowy społecznej jest władza rządząca i wiarygodni przedstawiciele grup społecznych. Trzeba do końca usunąć bariery przeszkadzające dialogowi narodu z władzą, która ma więcej służyć niż rządzić się...

W tym przede wszystkim trzeba uczciwie przeprowadzić amnestię dla wszystkich uwięzionych i posadzanych o czyny z pobudek politycznych. Trzeba naprawić krzywdy blisko 400 osób i ich rodzin, zwłaszcza krzywdy moralne - wyrządzone tym, którzy na swój sposób, bezinteresownie umiłowali Ojczyznę. Trzeba opróżnić przepełnione więzienia, w których bez żednych ulg, jak pospolici zbrodniarze i kryminaliści, przebywają w ciemnościach, w zimnie, bez należytej opieki lekarskiej ci, którzy odważyli się głośno mówić, ci, którzy chcą lepszego jutra dla Ojczyzny. Trzeba - dalej - umożliwić bezwarunkowy powrót do normalnego życia wszystkich ukrywających się, bo oni już złożyli na polskim ołtarzu ceną ofiarę poniewierki.

Dlatego szczególnie w tych dniach modlimy się za wszystkich więźniów politycznych, za wszystkich, by wrócili do swych domów jak najszybciej, aby wrócili zdrowi, bez obciążeń moralnych, że musieli cokolwiek podpisywać. Znamy przecież przypadki, w których ceną wolności były określone deklaracje czy oświadczenia, żeby tylko wspomnieć Tadeusza Jedyńaka, górnika z kopalni "Manifest Lipcowy" na Górnym Śląsku, aresztowanego w czerwcu tego roku - jego żona Maria oświadczyła, że odrzuciła on propozycję wystąpienia w telewizji z potępieniem "Solidarności" w zamian za uwolnienie.

Z nieukrywaną radością słuchamy coraz częściej ostatnio o przy-
miarkach władz do ogłoszenia amnestii dla tychże więźniów politycz-
nych, tylko nie bardzo widzimy, jaki miałoby to mieć związek z paź-
dziernikowymi wyborami do sejmu... Przecież oczywistym jest, że wię-
zienie dla tych ludzi jest co najmniej nieodpowiednim miejscem. Chciaż
z uznaniem przyznać trzeba, że są kraje, s raczej rządy, które
takich niewygodnych prawie od rezu umieszczają w klinikach psychia-
trycznych, gdzie środki farmakologiczne dokonają reszty...

Straszne słowa można było wyczytać w Orędzie Ojce Świętego na
"Światowy Dzień Pokoju" w roku 1981. Ten przerażający dokument został
opublikowany w naszej prasie. Dlaczego przerażający? Bo wykazuje, że
wieki XIX i XX przyczyniły się do tego, iż rozwinęła się nieufność do
człowieka. Największym wrogiem władzy stał się obywatel. Dlaczego tak
się dzieje? Bo obywatel został okradziony ze swoich praw i zniechęco-
ny do pełnienia obowiązków. Dlatego powstały państwa tyranów. Szczególnie
wiek XX jest przedziwną sceną powstawania państw tyrańskich,
które można nazwać zorganizowanym więzieniem. Orędzie przypomina: wła-
dza jest służbą, władanie to znaczy służenie. Pierwsza miłość władcy -
to miłość ku tym, nsd którymi władzę sprawuje. Gdyby tak było, gdyby
ta wielka prawda chrześcijańska narazście weszła w życie, gdyby każ-
da władza była moralna, gdyby zasady urzędowania kierowały się etyką
chrześcijańską, jskże inaczej wyglądałoby życie i wespółżycie, praca
i współpraca. Tymczasem staliśmy się świadkami tyłu systemów tyrań-
skich, gdzie mowa do obywatela wyraża się w tonie prokuratorsko-poli-
cyjnym.

Władza nie może być tyranem, a państwo nie może być zorganizowanym
więzieniem, aby człowiek wiedział, że ma swoje obowiązki w Ojczyźnie,
w Narodzie i w państwie, bo i jemu służy Naród i państwo. Podobnie
jak ma obowiązki w Kościele, bo i jemu Kościół służy.

Mówi się tyle o tak zwanej demokratyzacji życia. Może zabrzmieć to
boleśnie, ale jeśli demokratyzacja życia zatrzymała się na pierwszym
alemiencie tego słowa - "demos" i udręczała człowieka, to dzisiaj trze-
ba raczej mówić o humanizacji życia, zgodnie z Ewangelią. W Crado mó-
wimy o Chrystusie: "dla nas ludzi i dla naszego zbawienia zstąpił z
nieba /.../ i stał się człowiekiem". Jego gorącym pragnieniem jest,
aby każde dziecko Boże stało się w pałni człowiekiem. Sprawiają to
osobiste właściwości człowieka, dary rozumu, woli i serca, pomaga też
wychowanie, przygotowanie do życia - to, co człowiek bierze z rodzi-
ny, z narodu, z pracy zawodowej i z dobrze zorganizowanego życia pań-
stwowego. To wszystko nam pomaga, aby zgodnie z programem Chrystusa
każdy z nas stał się w pełni człowiekiem. A wtedy nastąpi odnowa. Za-
leży ona od każdego z nas.

Przez czterdzieści lat Kościół jakoś nie może przekonać, że Polskę
trzeba budować na prawie Bożym, na Ewangelii Chrystusowej, na ładzie
duchowym i moralnym, od którego zależy skuteczność i owocność życia.
Przecież nie wolno pomyśleć ani przez chwilę, że Polska, która prze-
szła dziesięć wieków żyła w światłach Krzyża i Ewangelii, wyrzuciła
się Chrystusa i odejdzie od swojej kultury chrześcijańskiej, kształ-
towanej przez wieki, wszczepianej w życie osobiste, rodzinne i naro-
dowe. Szaleństwem byłoby myśleć, że Polska może wyrzec się Chrystusa,
Syna Bożego, Jego Matki, Ewangelii i Krzyża, dlatego, że taki program
został do nas przyniesiony.

Odnowa Ojczyzny - według nauki Kościoła - jest uzależniona w zasa-
dzie od czterech kamieni węgielnych wszelkiego budowania. Tak więc:
1^o - musi ustać wszelka ateizacja w wychowaniu młodzieży, wszelkie
żamagie sumień młodych, wszelkie tropienie Boga w sumieniach ludzkich.
2^o - ekonomia polska musi być ekonomią rodzinną, dążącą do zaspoko-
jenia potrzeb rodziny, dlatego, że w rodzinach rozwija się Naród;
cała więc gospodarka musi być skierowana nie tyle na wywóz, ile na
zaspokojenie potrzeb życia rodzinnego.

3^o - ład w życiu społecznym, zawodowym i gospodarczym; ład ekonomii wymaga wolności inicjatywy społecznej i gospodarczej, wolności zrzeszania się; Polska nie może być więzieniem, w którym żyją ludzie zniewolniczeni; Polska musi mieć swobodę myślenia, oddechu, działania, inicjatywy i postępowania w swoim życiu osobistym, kulturalnym, zawodowym, a nawet narodowym i politycznym.

4 - jesteśmy u siebie, we własnej Ojczyźnie - mamy więc prawo w swojej Ojczyźnie czuć się swobodnie; mamy prawo czuć się jak u siebie w domu; tutaj na polskiej ziemi my jesteśmy gospodarzami; do nas należy decydować o takim czy innym kierunku naszego życia; od tego bowiem zależy suwerenność Narodu. Najwyższy czas, żeby te chwile przyszyły i byśmy władziali, iż pracujemy u siebie i dla siebie, chociaż znani jesteśmy z gościnności i nikomu nie odmawiamy chleba. Jednakże pamiętajmy, że "godzien jest pracownik zapłaty swojej" przede wszystkim u siebie, we własnej Ojczyźnie, we własnym zakładzie pracy - dla utrzymania swojej rodziny.

Taka jest nauka społeczna Kościoła. To nie jest moje prywatne nauczanie, ani moja prywatna refleksja, ani politykowanie. Nieraz sam zastanawiałem się, czy Kościół za bardzo nie odchodzi od tego, co jest jego obowiązkiem nadrzędnym - od modlitwy i przepowiadania Słowa Bożego. Ale bywały już takie sytuacja, kiedy Kościół wypełniał zadania zastępcze. Tak było w okresie ponad stu lat niewoli, kiedy Kościół był nauczycielem i wychowawcą. Włączał się niekiedy w walkę zbrojną, jak zakonnicy warszawscy podczas Powstania Listopadowego czy Styczniowego, których masowo wysyleno na Sybir, albo na szubienicę pod Cytadela. Dzisiaj nikt nie śmie powiedzieć, że oni przekroczyli granice swoich zadań. Wtedy bowiem zaczął budzić się duch świadomości narodowej. Tak też jest i dzisiaj - niekiedy i nam wypadnia dać się wciągnąć w sprawy, które wydają się dalekie od zadania głoszenia Ewangelii. Ale okazuje się, że błędy współczesne są następstwem braku ducha Ewangelii w życiu społecznym, zawodowym, gospodarczym, narodowym, politycznym i w sprawowaniu władzy. Kościół czuje się więc zobowiązany być obecnym w chwilach trudnych dla Narodu. Musi przykładać rękę do bijącego pulsu życia Narodu i czuć nad tym, aby nadal jego życie było Chrystusowe i ewangeliczne, aby miało skąd czerpać moce w trudnościach. Z socjologii politycznej wiemy, że najtrwalszą instytucją życia społecznego jest rodzina i naród - a my dodajmy z naszego doświadczenia - i Kościół. Stąd oparcie naszej nadziei i nasz spokój.

Często na przestrzeni tych 40 lat wypowiedzi Episkopatu były wprawdzie obrzucane błotem. Tak było np. po Memoriale z 1953 roku, ogłoszonym tu w Krakowie. Powiedziano wtedy: to jest walka z systemem. A to była walka o prawa dzieci Bożych, ludzi rozumnych w Polsce. To wszystko, co niekiedy wydaje się być zniewagą, czy działaniem na szkodę państwa, staje się później lekarstwem dla Narodu, a nawet i dla państwa. Gdybyśmy podsumowali całą służbę Kościoła Narodowi polskiemu, gdybyśmy zebrali wszystkie zarzuty pod naszym adresem - przekonalibyśmy się, że były to raczej dowody, iż lekarstwo było mocne, a dziś wiemy, jak bardzo konieczne.

Zawsze uważam, że moim nadrzędnym zadaniem jest modlitwa i nauczanie, ale niekiedy tak bywa, że Kościół musi podejmować zadania opuszczone. Ta sytuacja powtarza się w dziejach naszego Narodu. Gdy państwo jest nieobecne - jak to było w okresie niewoli - gdy Naród miał zsmknięte usta, gdy wszystko zostało odepchnięte, zawsze pozostawał Kościół i on trwał. Z tego powodu Kościół często się narażał i naraża się do dziś. Dla maleńkiego tylko zobrazowania - popatrzmy na ciągła wzrastające zaufanie robotników do Kościoła - ono nie podoba się ludziom, którzy chcieliby w tym środowisku założyć własną domenę, swoje - że tak powiem - okopy do walki z rzeczywistością. I stąd ten chaos. Bądźmy jednak spokojni - doświadczenie uczy, że musimy przejść przez wielorakie próby, udręki i niepokoje, aby służyć Narodowi w duchu Ewangelii Chrystusa.

Rolą Kościoła w tych dzisiejszych czasach jest podtrzymanie nadziei i solidarności ludzkich serc, spragnionych miłości, sprawiedliwości i prawdy - i Kościoła przed tym zadaniem się nie cofnie.

Jestem pewien, że pod tym, co zostało powiedziane podpisałoby się dwóch wyjątkowych więźniów politycznych. Pierwszy z nich był faktycznie więziony za słowa i postawę prawdy, zdrowej krytyki, pozątkowo niezrozumiany, wielki mąż stanu, Ojciec Narodu, wielki Prymas Tysiąclecia, niezjący Stefan Kardynał Wyszyński, którego słowa do dziś nie straciły swej aktualności. Drugi - to niedoszły więzień polityczny, na którego pogrzebie w czasie wielogodzinnych, nieprzerwanych nabożeństw, w trakoie tłumów pielgrzymek najpierw do ciała umęczonego kapłana Jerzego, a potem do Jego mogiły, w wygłoszonych przemówieniach i kazaniach powiedziane zostało wszystko co trzeba było w takiej sytuacji powiedzieć. Od tamtego dnia, to znaczy od przeszło roku, wszystko jest jasne dla tego, kto chce zrozumieć, kto chce wiedzieć "kto jest kto". Okazało się wtedy raz jeszcze z wymową niezwykłą i tragiczną, gdzie jest siła a gdzie racja, jaki jest realny wymiar konfliktu pomiędzy tym co dobre, a tym co złe; pomiędzy światłem, prawdą i sprawiedliwością, a siłami ciemności, kłamstwa i niesprawiedliwości. Od-tąd już nikt nie może się tłumaczyć, że nie wie, że nie rozumie wza-jemnego stosunku tych relacji...

Naród Polski nie nosi w sobie nienawiści i dlatego jest zdolny wiele przebaczyć, ale za cenę - ale tylko za cenę powrotu do prawdy. Bo prawda, i tylko prawda jest pierwszym warunkiem zaufania. Naród tak boleśnie doświadczany już nie uwierzy żadnym gołosłownym deklaracjom.

Jestem przekonany, że nie padną tutaj słowa, które znamy aż za dobrze, bo słyszymy je ze środków masowego przekazu - słowa niechęci, wrogości i nienawiści, czy nawoływania do walki - ani nie będzie tu krzyków, podburzających baseł. Winniśmy z tej światłynie wyjść bogatsi, mądrzejsi o pewne doświadczenia i przemyślenia, moralnie oczyszczeni i lepsi.

Nie zapomnijmy, że dobro wspólne, któremu na imię "Ojczyzna", że los Narodu zależy bardzo od nas, od indywidualnych wyborów, decyzji, postaw. Nie uchowamy się przed nimi uciekając tylko w pracę zawodową, w wielką naukę, a może w emigrację wewnętrzną czy, co gorsze, ze-wnątrzną - czy w pogłębianie zgubnych wad, nałogów.

Kiedy przybędzie do nas po raz już trzeci nasz wielki Rodak, i zapyta nas zgromadzonych na wspólnej modlitwie, śpiewających Papieżowi i wołających: "Solidarność z Papieżem!" - kiedy więc stanie przed nami i zapyta: "coście uczynili, aby dla was, dla Polski, ofiara waszego brata - księdza Jerzego i wielu innych, nie była daremna, by przyniosła błogosławione owoce?" - czy będziemy mieli moralne prawo powiedzieć, z czystym sumieniem zawołać, że tak, że zrobiliśmy wiele, dużo, wszystko, co trzeba było, co się należało?

Prośmy Maryję, Matkę Bożą Zwycięską, abyśmy nie zawiedli nadziei Ojca Świętego.

Prośmy Ją słowami Jana Pawła II: "Matko, może jeszcze nigdy tak jak teraz nie trzeba było, abyś wzięła w swe macierzyńskie dłonie sarca i myśli Polaków. Abyś wzięła w swe ręce losy mojego Narodu".

Polski Królowo...

Twoja wierna Polska

do Twych stóp się chyli i prosi:

daj pokój naszym dniom,

a sercem Solidarność.

Amen.

Kraków, 10 listopada 1985 r.

Ks. Rafał DOMAGAŁA

RZĄDY MARSZAŁKA

15 maja 1926 r., po trzech dniach walk wojsk rządowych z oddziałami dowodzonymi przez marszałka Piłsudskiego, podali się do dymisji prezydent Wojciechowski i premier Witos. Akcja wojskowa Marszałka zakończyła się sukcesem.

Spółeczeństwo i jego reprezentanci - partie polityczne nie zajęło jednolitego stanowiska wobec zwycięzcy. Prawica wraz z centrum była stroną pokonaną, niezdolną do odebrania siłą dopiero co utraconej władzy. Lewica popierała zamachowców w czasie walk, a po ich zakończeniu gotowała się do objęcia rządów razem z piłsudczykami. Zarazem partie lewicy sejmowej stały na stanowisku utrzymania systemu parlamentarnego - spodziewały się też tego po Piłsudskim. Ich ówczesny program to rozwiązanie parlamentu i rozpisanie nowych wyborów, które prawdopodobnie wyłoniłyby izbę o przewadze lewicy. Ale póki co, sytuację kontrolował jedynie Komendant i wszyscy byli tego świadomi. Dał temu wyraz zastępujący wówczas prezydenta marszałek sejmu - Maciej Rataj, mówiąc 15 maja do przedstawicieli prasy: "...w najbliższych godzinach zostanie zamianowany rząd. Teraz czekam na przybycie marszałka Piłsudskiego".

Wszyscy zadawali sobie teraz pytanie o rzeczywiste intencje sprawcy zamachu. Ten był tymczasem ostrożny w precyzowaniu programu. Niezwykle enigmatycznej wypowiedzi na ten temat udzielił jeszcze w czasie walk: "Nie może być w państwie za wiele niesprawiedliwości względem tych, co dużo pracą swą dla innych dają, nie może być w państwie - gdy nie chce ono iść ku zgubie - za dużo nieprawości". Słowa te mogły oznaczać wszystko i nic. Lewica chciała w nich widzieć zapowiedź radykalnego stanowiska Marszałka w kwestiach społecznych. Już 24 maja Piłsudski skorygował tę wizję: "Jeżeli pojęcia lewica-prawica są związane z ruchami socjalnymi, nie byłem nigdy osobiście w nowej Polsce stronnikiem dawania wyrażnej przewagi jednej stronie lub drugiej ...". Na dawanie światła "przykładów rozwiązywania problemów społecznych" Polska jest za słaba.

Pytanie o orientację polityczną Piłsudskiego miało znaczenie wykraczające poza wymiar doraźnych sojuszy, było również kwestią kształtu ustrojowego państwa. O ile bowiem Komendant nie chciał rządzić razem z lewicą, to przecież po prostu nie mógł z obaloną przez siebie centro-prawicą. Mogło to oznaczać próbę sprawowania władzy wbrew wszystkim.

Pierwszym testem, jakim Marszałek poddawał parlament, był wybór nowego prezydenta. 29 maja na "herbatce" z przedstawicielami stronnictw u premiera Bartła, powiedział: "...wybierajcie kogo chcecie, mnie czy kogo innego. Ale kogokolwiek wybierzeć, będziecie go musieli traktować z należnym Najwyższemu Reprezentantowi Państwa szacunkiem. To jest jedyny warunek, który stawiam. Jeśli nie będzie dotrzymany - to baty będą świstać".

Rataj zwołał na 31 maja Zgromadzenie Narodowe. Partie lewicy sądziły, że skoro Marszałek nie ogłosił się dyktatorem, to widocznie pragnie rządzić w sposób konstytucyjny. Partie te zaproponowały jego kandydaturę, prawica - wojewody poznańskiego, Adolfa Bnińskiego. Piłsudski wygrał zdecydowanie otrzymując 292 głosy lewicy oraz mniejszości narodowych i części centrum, Bniński - 193 głosy prawicy i podzielonego centrum. Powszechne zaskoczenia wywołało nieprzyjęcie wyboru przez elekta. Wysunął on kandydaturę profesora Ignacego Mościckiego, dotąd niezaangażowanego politycznie w Polsce odrodzonej.

1 czerwca Zgromadzenie wybrało Mościckiego. Stał się to równocześnie

formę zalegalizowanego zamachu.

Już długo przed Majem Piłsudski krytykował rozwiązania ustrojowe przyjęte w Konstytucji Marcowej. Jeden z punktów tej krytyki - słabość władzy wykonawczej - był, generalnie rzecz biorąc, podzielony przez centrum i prawicę. W lecie 1926 r. rząd Bartla wniósł pod obrady sejmu projekt rewizji konstytucji. Kluby: Związku Ludowo-Narodowego, Stronnictwa Chrześcijańsko-Narodowego, Chrześcijańskiej Demokracji i PSL "Piast" zgłosiły własne propozycje. W kwestii wzmocnienia władzy wykonawczej szły one dalej niż projekt rządowy. W koncepcjach tych, obok tradycyjnego / dla tych ugrupowań / postulatu ograniczenia parlamentarnej reprezentacji mniejszości narodowych, były elementy wartościowe z punktu widzenia funkcjonalności systemu: propozycje wyborów większościowych zamiast, jak dotychczas, proporcjonalnych oraz powołania Rady Stanu /organu doradczego czuwającego nad poprawną redakcją aktów prawnych/ i Trybunału Konstytucyjnego /mającego orzekać o zgodności ustaw z konstytucją/. Lewica, a przede wszystkim PPS, stała na stanowisku obrony Konstytucji Marcowej. Zdaniem jej czołowego eksperta od zagadnień ustrojowych - Mieczysława Niedziałkowskiego - rozwiązania przyjęte w roku 1921 lepiej służyły państwu i społeczeństwu, niż te proponowane przez rząd oraz centrum i prawicę. Lewica skłonna była zgodzić się na jeden tylko punkt spośród tamtych propozycji: prawo prezydenta do przedterminowego rozwiązywania izb, liczyła bowiem, że dzięki temu dojdzie wkrótce do nowych wyborów.

W lecie 1926 r. nie było jeszcze oczywiste odejście Piłsudskiego od demokracji parlamentarnej. Tym mniej było to jasne dla lewicy, która wciąż liczyła, że Marszałek podejmie z nią współpracę tworząc gabinet mający zaufanie lewej strony izby. PPS, PSL "Wyzwolenie" i Stronnictwo Chłopskie uważały, że bronią demokracji parlamentarnej. Warto wszakże zauważyć, że ani propozycje rządowe, ani pozostałych stronnictw, nie atakowały wówczas tego ustroju jako takiego. Postulowane poprawki miały na celu jedynie zniwelowanie niektórych ewidentnych niedomagań systemu. W ówczesnym stanowisku rządu i większości sejmu dostrzec można - poza dbaniem o własny interes - także troskę o państwo. W stanowisku lewicy, a szczególnie PPS, obok szczerych intencji - dogmatyzm.

2 sierpnia sejm uchwalił tzw. "nowelę sierpniową" - ustawę o zmianie konstytucji w takich oto punktach: prezydent uzyskał prawo przedterminowego rozwiązywania izb, ograniczono parlamentowi czas uchwalania budżetu, wprowadzono niewielkie utrudnienia w zgłaszaniu i głosowaniu votum nieufności dla rządu, wreszcie nadano prezydentowi prawo wydawania rozporządzeń z mocy ustawy: samodzielnie między kadencjami izb, a na podstawie ustawowego upoważnienia w czasie trwania kadencji; oba rodzaje rozporządzeń traciły moc prawną, o ile nie zostały przedstawione sejmowi do zatwierdzenia najpóźniej 14 dni po najbliższym posiedzeniu, albo gdy zostały przez sejm uchylone.

Jak widać, zmiany te nie były zamachem na parlamentarizm a jedynie próbą jego usprawnienia. Polska międzywojenna była krajem, w którym ustroj demokracji parlamentarnej napotykał rozliczne a obiektywne przeszkody. Dlatego chcąc utrzymać istniejący system, należało dostośować go do istniejących barier. Bodaj najważniejszą z nich było ogromne rozbieżności polityczne społeczeństwa i - w konsekwencji - parlamentu, a co za tym idzie, trudność wytworzenia stabilnej większości. Pozostając w ramach rozwiązań parlamentarnych nie sposób było zadekretować radykalnej poprawy sytuacji. Pozostawały zmiany cząstkowe. Należało więc, co zalecali wówczas wybitni specjaliści prawa państwowego, z jednej strony zmniejszyć nieco zależność rządu od ciągłej zmieniającej się większości sejmu, z drugiej zaś wzmocnić zdolność tegoż sejmu do wyłaniania trwałej większości. "Nowela sierpniowa" zadośćuczyniła tylko pierwszemu z tych postulatów. Tym niemniej wydaje się, że odtąd machina państwowa mogła - pozostając ustrojem parlamentarnym funkcjonować o wiele sprawniej.

Po wyborze prezydenta i mianowaniu drugiego rządu Partla system zdawał się powracać na tory parlamentarne; wszak gabinet cieszył się na razie zaufaniem izby. Już wkrótce okazało się jednak, że Marszałek nie myśli respektować podstawowej zasady demokracji parlamentarnej - politycznej odpowiedzialności rządu przed sejmem. Oto z końcem września 1926 roku sejm uchwalił votum nieufności dla ministrów Młodzianowskiego i Sujkowskiego. Wprawdzie Bartel solidaryzując się z obalonymi ministrami zdymisjonował wraz z całym gabinetem, ale zaraz potem prezydent mianował nowy rząd w identycznym składzie co poprzedni - łącznie z Młodzianowskim i Sujkowskim. Rządząca ekipa zastosowała tu pierwszy wybieg prawny z drugiej listy tzw. precedensów konstytucyjnych. Ich autorem był późniejszy minister sprawiedliwości - Stanisław Car. Precedensy te polegały na osobliwej interpretacji przepisów z zachowaniem litery, lecz z ominięciem ich ducha. W tym przypadku konstytucja oczywiście nie mówiła explicite, że obalony przez sejm minister nie może sprawować swego urzędu w następnym rządzie. Nie mówiła, ponieważ w parlamentarnej teorii i praktyce było to oczywiste. Wykładnie rządowa odbierała jakikolwiek /poza symbolicznym/ sens podstawowej zasadzie rządów parlamentarnych. Ale Marszałek nie zamierzał dzielić się władzą. Lapidarnie ujął to posaż ZLN Jerzy Zdziechowski mówiąc w sejmie: "Rząd, który doszedł do władzy na skutek próby sił przez most /na moście Kierbedzia zaczęły się walki w Maju - MZ/, nie pada na skutek próby sił przez drzwi /czyli przez głosowanie - MZ/". A oto inne rodzaje precedensów konstytucyjnych. Zwoływanie sesji bez jej otwierania - konstytucja istotnie dawała prezydentowi zarówno prawo "zwoływania" jak i "otwierania" sesji, niemniej dotychczasowa praktyka i zdrowy rozsądek nakazywały otworzyć sesję w dniu jej zwołania. Litara konstytucji obligowała prezydenta do zwołania sesji w określonych terminach. Czynił on więc zadość temu obowiązкови, lecz otwierał sesję wiele dni później, co skraczało czas obrad parlamentu, gdyż ten liczone od daty jego zwołania. Innym kruczkiem prawnym było odraczenie sesji w dniu jej otwarcia i to nawet przed przystąpieniem do porządku dziennego. Sposób był bardzo prosty: po otwarciu obrad premier prosił o głos /a miał prawo zabierania głosu poza kolejnością/ i odczytywał orędzie prezydenta o odroczeniu sesji na 30 dni. Zdumionym posłom pozostawało przyjąć to do wiadomości. Rzecz jasna i w tym przypadku konstytucja nie zakazywała odraczenia sesji w dniu jej otwarcia, bo takie postępowanie wydawało się ustawodawcom z 1921 roku zupełnie absurdalne. Ns koniec tego przeglądu jeszcze jeden sposób: zamykanie sesji natychmiast po upływie terminu odroczenia. Bywało i tak, że sesję najpierw odraczano zaraz po otwarciu, a po 30 dniach /termin odroczenia/ zamykano ją bez odbycia choćby jednego posiedzenia. I to zgodne było z literą konstytucji, kłóciło się natomiast ze zdrowym rozsądkiem i z dobrymi obyczajami.

Pozycja Piłsudskiego w tej walce z parlamentem była uprzywilejowana. On dysponował realną siłą i raz już dowiódł, że gotów jest jej użyć. Sejm, którego większość wykonała rząd Witosza obalony w Maju, był w jakiejś mierze nierепрезентatywny - historycy zgodnie stwierdzają przesunięcie się sympatii opinii publicznej zaraz po przewrocie w stronę lewicy i Marszałka. Stąd dążenie lewicy do szybkiego wykrzystania tej koniunktury w przedterminowych wyborach. Ta sama część izby żywiła zrazu spore złudzenia co do rzeczywistych zamierzeń majowego zwycięzcy, przechodząc zdecydowanie do opozycji dopiero pod koniec kadencji. Bilans tej rozgrywki nie rysuje się jasno. Jaśliby nań spojrzeć z punktu widzenia wymogów systemu parlamentarnego, nśleżałoby orzec przegraną ciała przedstawicielskiego - złamana bowiem została fundamentalna zasada parlamentaryzmu; sejm przestał mieć rzeczywisty wpływ na skład rządu. Jeśli natomiast zobaczyć ten bilans w kontekście realnego układu sił, wówczas wypada on dla władzy ustawodawczej o wiele korzystniej. Do ważniejszych sukcesów tego parlamentu

należy zaliczyć uchylenie przez sejm pierwszego z tzw. "dekretów prawowych", to jest prezydenckich rozporządzeń z mocą ustawy. "Dekret" wyraźnie ograniczał wolność prasy. Po jego uchyleniu rząd /formalnie prezydent/ wydał dwa nowe "dekrety", które sejm wprawdzie uchylił, lecz tylko uchwałą, nie ustawą, co wywołało przewlekły spór konstytucyjny. Jedną z większych porażek parlamentu było uniemożliwienie mu, metodą znanych machinacji terminami, uchwalenie ustawy samorządowej, już uzgodnionej między stronnictwami.

Warto też powiedzieć kilka słów o klimacie politycznym końca pierwszej kadencji czyli lat 1926-28. Charakteryzują go w pierwszym rzędzie obelżywa wywiady Piłsudskiego, kierowane głównie pod adresem posłów. W wypowiedziach tych Marszałek przeszedł szybko od krytyki rzeczywistych mankamentów okresu przedmajowego do krytyki samego parlamentarizmu. Również po Maju nasiliły się wypadki pobicia przez "nieznanych sprawców". Dziwnym trsfem najczęściej dotykały one osób publicznie zaangażowanych po stronie opozycji a nieznaną sprawcy lubili występować w mundurach i wyjaśniać krótko osobom właśnie bitym, za co mianowicie je to spotyka. Powodem, jak łatwo się domyślić, był nie dość życzliwy stosunek do Marszałka. Wtedy właśnie poturbowano między innymi byłego ministra skarbu Jerzego Zdziechowskiego oraz pisarzy Adolfa Nowaczyńskiego i Tadeusza Dołęgę-Mostowicza.

Późną jesienią 1927 roku zakończyła się kadencja sejmu i senatu wybranych w roku 1922. Wybory, które wyznaczono na marzec 1928, miały zupełnie inny przebieg od poprzednich. Nie tylko wskutek zmienionego klimatu politycznego, ale również z powodu "aktywnej" postawy administracji. Takiego określenia używała publicystyka sanacyjna a w praktyce oznaczało to wywieranie różnorodnego nacisku na wyborców i urzędników wyborczych. Od pomocy organizacyjnej i finansowej dla list prorządowych, poprzez naciski na ludzi uzależnionych od państwa /np. urzędnicy/, do uniważnienia kilkudziesięciu list opozycji i 300 tys. głosów /dla porównania - w 1922 r. uniważnionych zostało 60 tys. głosów czyli 5 razy mniej/. Wśród zabiegów o korzystny wynik głosowania nie zabrakło także takich, jak bezprawne mianowanie Stanisława Cera Generalnym Komisarzem Wyborczym. Ordynacja wyborcza nakazywała prezydentowi misjonaria komisarza spośród kandydatów przedstawionych przez Zgromszenie Prezesów Sądu Najwyższego - nie było na tej liście Cera. Prezydent mianując go złamał ustawę w sposób niejako publiczny, bo na oczach wszystkich zainteresowanych wyborami. Były i inne sposoby. Kazimierz Świtalski - kierujący z ramienia sanacji akcją wyborczą - zamieszczył w swoim dzienniku pod datą 28 listopada 1927 taką notatkę: "Wojewoda Morawski zawiadomił mnie, że na swoim terenie idzie taktyką odbierania kredytów instytucjom endeckim". Dodajmy do tego "cuda nad urną", jakie niewątpliwie musiały nastąpić, gdy - zgodnie z okólnikiem ministra spraw wewnętrznych - skta wyborcze przekazywano z miejsc głosowania do okręgowych komisji wyborczych za pośrednictwem policji i starostw. Sumując to wszystko otrzymamy wyobrażenie o skali nadużyć, choć - rzecz prosta - nie sposób ująć tego w liczby.

W wyniku wyborów Bezpartyjny Blok Współpracy z Rządem /formacja nie istniejąca w poprzedniej kadencji/ uzyskał ponad 27% mandatów w sejmie, zaś wszystkie listy prorządowe łącznie ok 29%. BBWR stał się najliczniejszym klubem, lecz nie zdobył, nawet z sojusznikami, większości bezwzględnej. W normalnych warunkach oznaczałoby to konieczność stworzenia rządu koalicyjnego, w warunkach pomajowych zapowiadało istnienie gabinetów mniejszościowych. W wyborach do senatu sanacja odniosła wyraźniejszy jeszcze sukces /41,5%/, ale i tam nie dysponowała bezwzględną większością. Dodajmy w uzupełnieniu, że gdy w 1930 r. Sąd Nsjwyższy rozpatrzył powyborcze protesty, uniważnił wybory w 7 okręgach. W wyborach uzupełniających BBWR stracił 17 mandatów /czyli blisko 14% swego stanu posiadania/, cztery inne kluby po 1, a klub Stronnictwa Chłopskiego zyskał ich 11.

Walka Piłsudskiego z parlamentem trwała nadal. Sejm /bo głównie on toczył tę walkę/ w drugiej kadencji wielokrotnie unikał frontalnego starcia z rządem. Zdecydował się na nie przy okazji afery Czechowicza. Gabriel Czechowicz, minister skarbu w okresie kampanii wyborczej /w 1928/, przekazał wówczas na fundusz dyspozycyjny premiera /którym był wtedy Piłsudski/ dodatkowo 8 mln. zł. Było publiczną tajemnicą, że owe 8 milionów zostały zużyte na kampanię wyborczą Bezpartyjnego Bloku. Gdy sejm zdecydował w marcu 1929 r., aby skierować do Trybunału Stanu skargę przeciw Czechowiczowi, Piłsudski zabrał publicznie głos swoim zwyczajem udzielając wywiadu. Nosił on tytuł "Dno oka - czyli wrażenia człowieka chorego z sesji budżetowej w Sejmie", a zawierał między innymi opinie o posłach. "A gdy się pan taki zafajda, to każdy podziwiacz musi jego zafajdaną bieliznę. A jeżeli przy tym zdarzy mu się wypadek, że zabzdzi, to to jest już prawo dla innych ludzi, a najbardziej ministrów, którzy muszą nie pracować dla państwa, ale obsługiwać i fagasować tym zafajdanym istotom /.../". Kończył w ten sposób: "Jeżeli, czego bym zresztą w tym wypadku nie życzył, miałbym być prezesem gabinetu, to oświadczam publicznie, że Trybunał Stanu nie ośmielił mi się zebrać ani razu, gdyż ja takiej równi z fajdanami sobie nie życzę". Trybunał Stanu, gdzie oskarżycielem w sprawie Czechowicza był Herman Liebermann, a w charakterze świadka wystąpił /jednak/ Piłsudski, wydał salomonową decyzję: wstrzymał się z ostatecznym werdyktem do czasu, aż sejm dokona merytorycznej, a nie tylko jak dotąd - formalnej, oceny przekroczeń budżetowych. Sejm byłby niechybnie takiej oceny dokonał, gdyby mu tego nie uniemożliwiono; o czym niżej.

Sprawa Czechowicza przyczyniła się do znacznej konsolidacji opozycji. We wrześniu 1929 r. premier Switalski zaproponował stronnictwom odbycie przed rozpoczęciem sesji nieformalnego spotkania dla przedyskutowania sprawy uchwalenia przyszłego budżetu. Stronnictwa nie chciały rozmawiać poza sejmem i taki sens miały ich deklaracje. Duże znaczenie miał fakt, że 6 partii lewicy i centrum wystąpiło ze wspólnym oświadczeniem, co było początkiem koalicji sejmowej nazwanej Centrolew. W jej skład wchodziły: PPS, PSL "Wyzwolenie", Stronnictwo Chłopskie, Narodowa Partia Robotnicza, PSL "Piast" i chadacja. Blok ten skupiał łącznie ponad 40% mandatów - dużo więcej niż zespół rządowy, toteż przy zachowaniu parlamentarnych reguł gry prezydent powinien wystąpić z inicjatywą utworzenia rządu koalicyjnego opartego o Centrolew. Oczywiście do tego nie doszło, ale sam fakt powstania takiego ugrupowania był dla sanacji groźny.

Rozgrywka uległa zaostrzeniu po bardzo spektakularnej prowokacji, jaką stanowiło najście około 100 oficerów na gmach sejmu w dniu 31 października 1929 r., kiedy to miało nastąpić otwarcie pierwszego posiedzenia sesji budżetowej. Marszałek sejmu Ignacy Daszyński w bezpośredniej rozmowie z Piłsudskim kategorycznie odmówił otwarcia w tych warunkach posiedzenia. Gdy ponad miesiąc później sesja doszła do skutku, Centrolew zgłosił wniosek o votum nieufności dla gabinetu Switalskiego. Wniosek uzyskał większość, premier podał się wraz z rządem do dymisji. Centrolew oświadczył gotowość utworzenia rządu, co, rzecz jasna, zostało zignorowane przez Mościckiego.

Po Maju sejm wielokrotnie zmuszał gabinet do ustąpienia, nie odnosiło to jednak praktycznie żadnego skutku, bo każdy kolejny rząd był prawie /albo i zupełnie/ kopia poprzedniego. Tym razem mianowanie rządu stanowiło niespodziankę, ponieważ w jego składzie nie znaleźli się czterej dotychczasowi ministrowie, najbardziej atakowani przez opozycję: Car, Składkowski, Moraczewski i Niezabytowski. Premierem został Bartel, który w odróżnieniu od Switalskiego był w obozie sanacji zwolennikiem łagodniejszych metod. Powołanie rządu Bartla było bodaj jedynym od przewrotu przypadkiem poważniejszego uwzględnienia postulatów opozycji przy ustalaniu składu rządu.

W tym okresie najbardziej kompromitująca dla sanacji była ciągle sprawa Czechowicza. Dlatego obóz rządzący starał się za wszelką cenę nie dopuścić do rzeczowej oceny pozabudżetowych wydatków, co nadałoby sprawie dalszy bieg przed Trybunałem Stanu. Wiosną 1930 r. celowo przedłużano przesilenie rządowe. Piłsudczykom zależało na jego przeciągnięciu, po to, by w ten sposób dotrzeć do końca sesji. Niezwoływanie posiedzeń sejmku w czasie kryzysu gabinetowego nie było prawem, lecz jedynie zwyczajem konstytucyjnym. Tym razem opozycja postanowiła trzymać się ściśle litery prawa. Daszyński zwołał posiedzenie /sesja była wtedy otwarta/ na 29 marca czyli tuż przed końcem sesji. Nsj-piarnar na posiedzeniu komisji budżetowej klub BBWR zastosował hałaśliwą obstrukcję, chcąc uniemożliwić przegłosowanie wniosku w sprawie Czechowicza. Udało się go jednak przegłosować, lecz aby nadać sprawie bieg wymagał on jeszcze uchwały plenum sejmku. Herman Liebermann tak opisał przygotowania do plenarnego posiedzenia w tym dniu: "Głuche wieści krążyły, że posłowie rządowi przyjdą na posiedzenie uzbrojeni w rewolwary i gumowe pałki i gwałtem udaremniają posiedzenie /.../. W wewnętrznym hallu, na przestrzeni między gabinetem marszałka a drzwiami na salę /.../, snuły się już liczne postacie posłów rządowych /.../ w gmachu krążyła uporczywie wieść, że piłsudczycy postanowili obić Daszyńskiego przed wkroczeniem na salę. W pewnym momencie wszedłem do gabinetu marszałka /.../. Daszyński był sam i znajdował się w stanie wzburzenia, w jakim go nigdy nie widziałem, sprawił na mnie wrażenie człowieka zupełnie chorego. Oczy miał jakby zapadłe i zupełnie przyciemnione, głos mu się załamał i nie miał właściwego mu zawsze metalicznego dźwięku, gdy się podniósł, zrobił kilka kroków w pokoju, suwał ledwo nogami, jak gdyby zupełnie opadł z sił. Przeraziło mnie to niepomiernie, a gdy mi oświadczył, że trzeba będzie ustąpić i usunąć z porządku dziennego referat o przekroczeniu budżetowym, bo przeciwna strona zdecydowana jest wymusić to z pomocą najohydniejszych gwałtów, byłem niemile zaskoczony, lecz jednak rozumiałem cały tragizm sytuacji Daszyńskiego". Daszyński - symbol godnej postawy izby, której przewodził - załamał się. Opozycja usiłowała raz jeszcze wrócić do sprawy Czechowicza w lecie 1930 r., kiedy to na żądanie posłów prezydent musiał zwołać sesję nadzwyczajną. Jak łatwo było przewidzieć, odroczył ją bezpośrednio po otwarciu, a po upływie terminu odroczenia zamknął. W ten sposób zamknięto wstydliwie aferę o nadużyciu, jako że niedługo po tym parlament uległ przedterminowemu rozwiązaniu.

Opozycja zorganizowana w Centrolewie zdecydowana była od jakiegoś czasu na wykrócenie z rozgrywką poza teren parlamentu. W tym celu zorganizowano 29 czerwca 1930 r. kongres Centrolewu w Krakowie, na którym domagano się wzrost "ustąpienia rządów dyktatury Józefa Piłsudskiego". Kongres nie skupił jednakże wielkiego zainteresowania opinii. Władze kontratakowały z końcem lata: 30 sierpnia rozwiązano obie izby, w nocy z 9 na 10 września aresztowano 12 przywódców Centrolawu i osadzono ich w wojskowym więzieniu w Brześciu nad Bugiem. Tak skończył się spór marszałka Piłsudskiego z niepokornym parlamentem.

Pora na bilans II kadencji. Opozycja stanowiąca w sejmie większość /sic!/, była jednak bardzo rozbita. Sam Centrolew nie stanowił monolitu, nie mówiąc już o tym, że spośród polskich ugrupowań zabrakło w nim endecji. W styczniu 1929 roku Klub Narodowy zgłosił wniosek o votum nieufności dla ministra Cera odpowiedzialnego za praktyki wykrętnej interpreacji konstytucji, nadużycia wyborcze z 1928 roku i czystkę w sądownictwie. Wniosek upadł, ponieważ PPS, "Wyzwolenie" i "Piast" wstrzymały się od głosu "by nie być narzędziem Stronnictwa Narodowego". W marcu tegoż roku /po wspomnianym wyżej posiedzeniu Trybunału Stanu/ endecja zaproponowała pozostałym stronnictwom podjęcie wspólnego działania na rzecz zwołania sesji nadzwyczajnej dla merytorycznej oceny sprawy Czechowicza /starania w tej sprawie opozycja podjęła dopiero w rok później/.

Był to mimo wszystko sejm walczący, odniósł też w tej walce kilka

sukcesów. Pierwszym był sam wybór Ignacego Daszyńskiego na marszałka, wbrew pogrożkom pilsudczyków i wbrew oficjalnej kandydaturze Bartla. Udało się sejmowi ostatecznie uchylić "dekrety" prasowe. Udało się także uchylić rozporządzenie o ustroju sądów powszechnych, które - póki obowiązywało - pozwalało sanacji na usuwanie przeciwników politycznych z sądownictwa. Postawienie sprawy Czechowicza przed Trybunałem Stanu, mimo że nie doprowadzone do końca, było samo w sobie silnym uderzeniem w istniejący system. Dzięki "noweli aierpniowej" oraz pełnomocnictwom ustawowym rząd /formalnie prezydent/ uzyskał m.in. prawo wydawania rozporządzeń z mocą ustawy. Zmianiło to radykalnie proporcje prawotwórczej działalności izb i rządu. O ile w ciągu 1924 roku, w czasie obowiązywania rozległych pełnomocnictw dla gabinetu Grabskiego, stosunek ilościowy rozporządzeń do ustaw wynosił 119 do 113, to w latach 1928-30 odpowiednia proporcja wynosiła 200 do 90.

Rządzący obóz usiłował w latach 1926-1930 sprowadzić do zera rolę parlamentu w systemie organów państwowych. Parlament obu kadencji, głównie sejmy, a szczególnie ten pracujący pod łaską Ignacego Daszyńskiego, nie dawały za wygraną. Nie zawsze dostatecznie zdecydowanie i umiejętnie, walczyły przeciw z uporem o należne im prawa. Mimo tych częściowo udanych wysiłków zasadnicza treść rządzenia skupiała się w rękach władzy wykonawczej. Andrzej Garlicki nazwał to cennie "parlamentaryzmem z przetrąconym kręgosłupem!"

■ ■ ■

Wybory roku 1930, nazwane później "brzeskimi", były już raczej farszą wyborczą. Rząd, obok metod podobnych do tych jakie stosował w 1928 roku, wykorzystał jeden nowy element: przemoc fizyczną. Trudno mówić o swobodzie głosowania, gdy czołowi przywódcy opozycji siedzą w więzieniu i grożą im surowe wyroki. W wyborach tych unieważniono rekordową liczbę głosów /480 tys., czyli 4% ogółu głosujących/. Rekordowa była też lista powyborczych protestów. W takich warunkach oficjalne wyniki nie mogły być miarodajnym odbiciem sympatii politycznych społeczeństwa. W rezultacie BBWR zdobył 55% mandatów w sejmie, centrum i lewica miały ich łącznie 23% /w poprzednim sejmie 40%/. W senacie notowania sanacji były tradycyjnie wyższe. Osiągnięte wyniki upoważniały tym razem formalnie obóz Marszałka do utworzenia rządu opartego o sejmową większość. Nie stworzyły one jednak w dalszym ciągu możliwości legalnej zmiany konstytucji, gdyż to wymagałoby większości 2/3 w każdej z izb, a taką większość sanacja uzyskała tylko w senacie.

O rzeczywistym znaczeniu parlamentu III kadencji świadczy także o to porównanie. W sejmie poprzednim sformułowano 961 interpelacji, w obecnym - choć istniał dwukrotnie dłużej - 133. Mimo osiągnięcia przez sanację bezwzględnej większości w obu izbach, rosła w dalszym ciągu działalność prawotwórcza prezydenta. W trybie rozporządzeń z mocą ustawy wydano w początku lat 30-tych wiele zasedniczej wagi aktów prawnych, w tym - przynajmniej - wielkie kodyfikacje dwudziestolecia, będące chlubą polskiej myśli prawniczej. Były to między innymi kodeksy: procedury cywilnej, procedury karnej, karny, zobowiązań, handlowy.

Partie opozycyjne reprezentowane w parlamencie nie miały wpływu ani na bieżącą politykę rządu, ani na ustawodawstwo. Celość władzy, zarówno wykonawczej jak i ustawodawczej, przejęła sanacja. Dla opozycji sejm i senat miały już tylko znaczenie wolnej trybuny, co starała się ona wykorzystywać publikując w prasie przemówienia posłów i senatorów nierządowych. Miało to szczególne znaczenie w sprawie Brzeźcia - dzięki parlamentowi i prasie społeczeństwo zostało poinformowane na dużą skalę o ordynarnych metodach stosowanych w więzieniu wobec przywódców Centrolewu.

Z sytemowego punktu widzenia było to niewiele. O ile w ogóle można w odniesieniu do tego okresu zastosować kategorię parlamentaryzmu, to był to już parlamentaryzm kadłubowy.

■ ■ ■

Tekst ten nie ma być syntezą dziejów politycznych Polski lat 1926-1935, lecz jedynie przeglądem zagadnień ustrojowych tego okresu. Dlatego nie poruszam w nim problemów społecznych, gospodarczych i między narodowych. Czuję się jednak w obowiązku bodaj zasygnalizować jedną sprawę: stopnia społecznego poparcia dla sanacji. Zapewne było ono mniejsze niżby na to wskazywały wyniki wyborów z 1928 roku: 25% głosów /nie mandatów/ oddanych na listy prorządowe. Nie wiadomo natomiast o ile mniejsze. Wazelako strzec się należy przed uogólnieniami sprowadzającymi sanację do rangi clasnej katerii pozbawionej poważniejszych wpływów w społeczeństwie. Popularność marszałka Piłsudskiego była przecież wielka - głównie z powodu dawniejszych zasług, ale nie tylko. Warto zauważyć, że w ciągu kilku pierwazych lat po przewrocie Polska przeżywała okres dobrej komiunktury gospodarczej. Kryzys, jaki nastąpił po nim, był zjawiskiem ogólnoswiatowym, a nie prostym skutkiem błędnych decyzji gospodarczych rządu. Nawet jeśli rząd ten mógł prowadzić lepszą politykę gospodarczą, to nie sposób mu zarzucić bierności na tym polu. Ingerencja państwa w życie gospodarcze była w Polsce duża /co wówczas było zanamieniem polityki nowoczesnej/. Istniała także doraźna pomoc dla najbiedniejszych. Około roku 1934-35 nastąpił powrót koniunktury, popularność rządu musiała zatem wtedy wzrosnąć. Osiągnięcia ekipy rządzącej na polu stosunków międzynarodowych były, zważywszy istniejące warunki, niemałe. Spektakularne sukcesy, takie jak błyskotliwe zażegnanie sporu z Litwą, zdobycie powstałego miejsca w Radzie Ligi Narodów, czy pakt o nieagresji z obu groźnymi sąsiadami, też musiały być przychylnie przyjęte przez opinię publiczną.

Od roku 1930 sanacja zmonopolizowała funkcję rządu na szczeblu centralnym. Nie oznaczało to jednak opanowania wszelkich dziedzin życia społecznego - nie oznaczało totalitaryzmu. Istniała prywatna gospodarka z poważnym wprawdzie, ale nie decydującym udziałem państwa. Funkcjonowała legalnie wolna praa od ultranacjonalistycznej po komunistyczną. Obywatele korzystali z prawa zrzeszenia się w partiach politycznych, związkach zawodowych i stowarzyszeniach niezależnych od państwa. Istniał wreszcie samorząd terytorialny i choć ograniczony w swych kompetencjach, to przecież nie fikcyjny lecz autentyczny.

Józef Piłsudski był w dziejach Drugiej Rzeczypospolitej postacią wyjątkową. Najpierw z powodu ogromnych zasług jakie położył dla odzyskania i obrony niepodległości. Następnie z racji systematycznego i konsekwentnego niszczenia demokracji. Także w tym drugim portrecie Marszałka można dostrzec szlachetną pobudki i przenikliwą nieraz myśl. Ala dominuje w nim jedno: olbrzymia pogarda dla współobywateli, przekonanie, że wszyscy inni nie potrafią myśleć odpowiedzialnie o tym kraju - a skoro tak, to nie są też godni o losach tego kraju decydować. 10 lat minęło od momentu, kiedy Komendant mówił w Sejmie Ustawodawczym, że czuje się szczęśliwy, iż przypadku mu zaszczyt "otwierać Sejm Polski, który znów będzie domu swego ojczyzstego jedynym panem i gospodarzem" do marca 1929 roku, gdy porównał ówczesny sejm do "oranżerii zapełnionej złośliwymi małpsmi". Były zapewne powody, dla których Piłsudski nauczył się tej pogardy: choćby marazm i niewiara roku 14-go czy nieskuteczność rozwiązań konstytucyjnych roku 21-go. Nie usprawiedliwia to, jak sądzę, zaprowadzonego systemu, a może jeszcze bardziej szczególnej, osobistej metody sprawowania władzy. Dyktatura, a także i półdyktatura nie wychowuje obywateli. Było prawdziwym nieszczęściem Polaki, że człowiek mający u prugu niepodległości tak duże zaufanie społeczeństwa, tak mało chciał później na tym zaufaniu budować.

• • •

Prawnym usankcjonowaniem stworzonego systemu było uchwalenia Konstytucji Kwietniowej. Dokonano tego, jakby na potwierdzenie dotychczasowych oszustw, trickiem prawnym. Piłsudski, gdy podpisywał jej tekst, był już śmiertelnie chory. Zmarł 12 maja 1935 roku. Wkrótce potem u-

chwalono ordynacje wyborcze do sejmu i senatu, stanowiące ostateczne uzupełnienie nowych ram prawnych systemu. Profesor Stanisław Starzyński pisał o ich projektach 23 maja 1935 roku w "Kuryerze Warszawskim": "Główną ich zasadą jest dążność do pozbawienia naszego parlamentu charakteru ciała politycznego przez niedopuszczenie do wybrania Sejmu, zarówno jak i Senatu przez stronnictwa polityczne na podstawie zgłaszanych przez nie list kandydackich, lecz urządzenie wyborów w ten sposób, by z nich wychodziły tylko same jednostki bezpartyjne, z którychby można stworzyć tzw. monopartię jedyną, bezbarwną, a z natury rzeczy ściśle rządową /.../. Tą drogą miałyby nastąpić odpolitycznienie Sejmu, który właśnie z natury rzeczy jest i powinien być wszędzie ciałem par excellence politycznym".

MATEUSZ ZAWIEJA

Z historii walki z Kościołem w PRL — „ORĘDZIE BISKUPÓW POLSKICH”

Dziś, gdy władza znów atakuje Kościół, mnożą się prowokacje, kłamstwa i oszczerstwa, warto przypomnieć jeden z rozdziałów tej walki. 18 listopada mija 20 rocznica ogłoszenia "Orędzia biskupów polskich do ich niemieckich braci w Chrystusiu". Dokument wywołał burzę, angażując do ataku cały komunistyczny aparat. Zainteresował światową opinię publiczną. Ostatnio, po dwudziestu latach, nie zmieniła się oficjalna ocena tego faktu, a w prasie pojawia się szereg artykułów przywołujących prymitywną argumentację lat sześćdziesiątych. Istniejące więc potrzeba przypomnienia całej sprawy.

36 polskich biskupów*) pisało w Orędziu:

*) Orędzie podpisali: Stefan Ksrdynał Wyszyński, prymas Polski; Antoni Beraniak, arcybiskup poznański; Bolesław Kominak, arcybiskup tytularny we Wrocławiu; Karol Wojtyła, arcybiskup metropolita krakowski; Antoni Pawłowski, biskup włocławski; Kazimierz Józef Kowalski, biskup chełmiński, Amichał Klepach, biskup łódzki /ordynariusz/; Czesław Falkowski, biskup łomżyński; Piotr Kałwa, biskup lubelski; Franciszek Jop, biskup w Opolu; Herbert Bednorz, biskup koadiutor kstowicki; Stefan Bareła, biskup częstochowski; Bogdan Sikorski, biskup płocki; Edmund Nowicki, biskup gdański; Jan Jaroszewicz, administrator apostolski kielecki; Jerzy Ablewicz, biskup tarnowski; Józef Drzazga, biskup wikariusz kapitulny Olsztyn; Stanisław Jakiel, wikariusz kapitulny Przemyśl; Andrzej Wronka, biskup sufragan we Wrocławiu; Wacław Majewski, biskup sufragan warszawski; Jerzy Stroba, biskup sufragan w Gorzowie; Franciszek Jedwabski, biskup sufragan w Poznaniu; Julian Grobicki, biskup sufragan krakowski; Karol Pękala, biskup sufragan w Tarnowie; Zygfryd Kowalski, biskup sufragan chełmiński; Jerzy Modzelewski, biskup sufragan warszawski; Jan Wosiński, biskup sufragan płocki; Bohdan Bejze, biskup sufragan łódzki; Tadeusz Szwagrzyk, biskup sufragan częstochowski; Wacław Skoromucha, biskup sufragan w Siedlcach; Jan Zaręba, biskup sufragan włocławski; Henryk Grzondziel, biskup sufragan w Opolu; Józef Kurpas, biskup sufragan katowicki; Władysław Rubin, biskup sufragan gnieźnieński; Paweł Latusek, biskup sufragan we Wrocławiu; Jan Czernik, biskup sufragan w Gnieźnie.

"/.../ Niechaj wojno nam będzie, Czczigodni Bracia, zanim Sobór dobiegnie końca, zwiastować Wam, naszym najbliższym zachodnim sąsiadom, radosną wieść, że w przyszłym roku - roku Pańskim 1966 - Kościół Chrystusowy w Polsce, a wraz z nim cały naród polski obchodzić będzie Millenium swego chrztu, a jednocześnie święto tysiąclecia swego narodowego i państwowego istnienia.

Niniejszym zapraszamy Was w sposób braterski, ale też równocześnie uroczysty, abyście wzięli udział w kościelnych uroczystościach polskiego Tysiąclecia /.../".

Następnie omawiano rozwój stosunków polsko-niemieckich na przestrzeni wieków:

"/.../ Nie chcemy wyliczać wszystkiego, aby rozdrapywać na nowo niezabliźnione jeszcze rany. Jeżeli wspominały tę polską straszliwą noc, to tylko dlatego, aby w pewnym stopniu rozumiemy nas dzisiaj, nas samych i nasz obecny sposób myślenia. Próbowujemy zapomnieć. Ufamy, że czas - ów wiałki Kairos Boży - pomału uleczy rany.

Po wszystkim co się stało w przeszłości, niestety w tak niedalkiej przeszłości, nie należy się dziwić, że cały naród polski znajduje się pod tak silnym naciskiem elementarnej potrzeby bezpieczeństwa i wciąż jeszcze z nieufnością traktuje swego najbliższego sąsiada na Zachodzie. To nastawienie psychiczne jest, że się tak wyrazimy, problemem naszej generacji, który - oby Bóg tak sprawił - zniknie przy dobrej woli, i zniknąć musi. W najcięższych politycznych i duchowych udrękach narodu, w okresie jego, trwającego wieki, rozbitcia, kotwicą ratunkową i symbolem jedności narodowej narodu polskiego pozostawał zawsze Kościół katolicki, Święta Dziewica i rodzina polskie. We wszystkich walkach wolnościowych podczas okresu ucisku Polacy szli z tymi symbolami na barykady - białe orły znajdowały się po jednej stronie sztandaru wolności a po drugiej Matka Boska. Dewizą zawsze pozostawało: "Za Waszą i naszą wolność".

Tak przedstawia się - w ogólnych zarysach - tysiącletni rozwój polskiej kultury ze szczególnym uwzględnieniem sąsiedztwa polsko-niemieckiego. Obciążenie obustronnych stosunków jest wciąż jeszcze wielkie, a powiększa je jeszcze tzw. "gorące żelazo" tego sąsiedztwa; polska granica zachodnia na Odrze i Nysie, co rozumiemy dobrze, jest dla Niemców nader gorzkim owocem ostatniej wojny masowego zniszczenia - wraz z cierpieniem milionów uchodźców i wypędzonych Niemców /co stało się na międzysojusznicy rozkaz zwycięstwa mocarstw - Poczdam 1945/. Duża część ludności opuściła te obszary w obawie przed frontem rosyjskim i uciekła na zachód.

Dla naszej Ojczyzny, która wyszła z masowych morderstw nie jako państwo zwycięskie, lecz w stopniu osłabione, jest to sprawa egzystencji /nie sprawa "większej przestrzeni życiowej" /.../.

/.../ Ale mimo to wszystko, pomimo prawie beznadziejnie obciążonej przeszłością sytuacji, właśnie wychodząc z tej sytuacji, wzywamy Was, Wielebni Bracia: próbujemy zapomnieć! Żadnej polemiki, żadnej dalszej zimnej wojny, lecz początek dialogu, do którego dążą dziś wszędzie Sobór i papież Paweł VI. Jeśli po obu stronach istnieje szczerą dobrą wolą - a w to chyba nie należy wątpić - wówczas musi się udać poważny dialog i przynieść z biegiem czasu dobre owoce - mimo wszystko, mimo gorącego żelaza/.../.

/.../ W tym ogólnochrześcijańskim, a zarazem bardzo humanitarnym duchu wyciągamy do Was nasze dłonie z ław kończącego się Soboru, udzielamy przebaczenia i prosimy o przebaczenie. A jeśli Wy - biskupi niemieccy i ojcowie soborowi - umiecie po bratersku nasze wyciągnięte dłonie, wówczas dopiero wtedy będziemy mogli ze spokojnym sumieniem obchodzić w Polsce nasze Millenium w sposób całkowicie chrześcijański. Zapraszamy Was na to serdecznie do Polski.

Tak niechaj sprawi miłosierny Zbawiciel i Maria Panna, Królowa Polski, Regina Mundi i Mater Ecclesiae".

Tyle Orędzie. 7 grudnia kardynałowie J. Doepfner i J. Frings wraz z czterdziestoma innymi biskupami niemieckimi ogłosili w Rzymie swój list do biskupów polskich, pisząc w nim m.in.:

"Najczcigodniejszy Bracia w biskupim posłannictwie.

Ze wzruszeniem i radością odebraliśmy Wasze orędzie z dnia 18 listopada br. oraz Wasze serdeczne zaproszenie do wzięcia udziału w obchodach tysiąclecia chrztu narodu polskiego. Możliwość wystosowania do Was tych słów uważamy za cenny owoc naszej współpracy soborowej. Z wdzięcznością przyjmujemy Wasze orędzie i żywym nadzieję, iż rozpoczęty między nami dialog znajdzie swój dalszy ciąg w Polsce i w Niemczech. Przy pomocy Bożej rozmowa ta posunia naprzód i wzmocni braterstwo między narodem polskim i niemieckim.

Uświadamiamy sobie jak trudnym było i jest dla wielu chrześcijan w Europie po trwogach II wojny światowej trwać całym sercem przy zasadniczej prawdzie naszej wiary: że jesteśmy dziećmi Ojca Niebieskiego oraz Braćmi w Chrystucie /.../.

/.../ Wiele okropności doznał naród Polski od Niemców i w imieniu niemieckiego narodu. Wiemy, że dźwigać musimy skutki wojny, ciężkie również dla naszego kraju. Rozumiemy, że okres niemieckiej okupacji zostawił palącą ranę, która nawet przy dobrej woli trudno się zabliznia. Tym bardziej jesteśmy wdzięczni, że w obliczu tego faktu, doprawdy z chrześcijańską wielkodusznością uznaje się, iż w czasie panowania reżimu narodowosocjalistycznego również wielka część ludności niemieckiej przeżywała ciężki konflikt sumienia. Jesteśmy wdzięczni za to, że w obliczu milionów polskich ofiar owych czasów pamięta się o tych Niemcach, którzy opierali się demonowi i w wielu wypadkach oddali za to swe życie. Jest dla nas pocieszeniem, że liczni nasi kapłani i wierni wśród owej nocy nienawiści wstawiali się modlitwą i ofiarą za naród polski pozbawiony praw, i że w imię tej chrześcijańskiej miłości wzięli na siebie więzienie i śmierć. Jesteśmy wdzięczni, że obok niezmiernych cierpień ludu polskiego wspomina się również i ciężki los milionów wypędzonych Niemców i uchodźców.

Oczywiście wylizanie win i nieprawości - co do tego jesteśmy zgodni - nie może posunąć naprzód sprawy. Jesteśmy dziećmi wspólnego Ojca Niebieskiego. Każde bezprawie ludzkie jest najpierw przewinieniem wobec Boga /.../. Następnie zaś wolno nam ze szczerego serca prosić o przebaczenie naszych sąsiadów. Tak też prosimy i my o zapomnienie, więcej, prosimy o przebaczenie /.../.

Początek ten jest szczególnie obciążony gorzkimi skutkami przez Niemców rozpoczętej i przegranej wojny. Miliony Polaków musiały opuścić wschodnie tereny i przenieść się na ziemie im przydzielone. Zdajemy sobie dlatego doskonale sprawę z tego, co te tereny dla dzisiejszej Polski znaczą. Lecz i miliony Niemców musiały opuścić swoje rodzinne strony, w których żyli ich ojcowie i pradziadowie. Nie przybyli oni w ciągu wieków na te ziemie jako zdobywcy, lecz zostali wezwani przez rodzimych książąt. Z tej racji musimy Wam w miłości i zgodnie z prawdą powiedzieć: Ilekroć ci Niemcy mówią o "prawie do rodzinnych stron", to nie ma w tych słowach - pomijając nieliczne wyjątki - agresywnych zamiarów. Nasi Ślązacy, Pomorzanie i mieszkańcy Prus Wschodnich pragną przez to wyrazić, że w swoich starych stronach rodzimych mieszkali prawie i że nadal pozostają z nimi związani. Przy tym są świadomi, że dorasta tam teraz młoda generacja, która ziemie przekazane ich ojcom także za swoją rodzinne strony uważa. Miłość chrześcijańska zawsze stara się wczuć w Kłopoty i trudności bliźniego, by w ten sposób przewyciężyć naprężenie i granice, chce wykorzystać upiora nienawiści, nieprzyjaźni i odwetu. W ten sposób przyczyni się do tego, że wszakia nieszczęśliwe skutki wojny przewyciężone zostaną w rozwiązaniu wszechstronnie zadowolającym i sprawiedliwym. Możecie być przekonani, że żaden biskup niemiecki ani nia pragnie ni-

czego innego, ani nie będzie popierał niczego innego, jak tylko to, by braterski stosunek między obydwoma narodami nacechowany był szczerością oraz uczciwością we wzajemnej rozmowie /.../.

/.../ Na końcu Waszego listu znajdują się cenne słowa, mogące otworzyć nową przyszłość dla naszych dwóch narodów: "Wyciągamy do Was nasze dłonie z ław kończącego się Soboru, przebaczymy i prosimy o przebaczenie". Z braterskim szacunkiem przyjmujemy wyciągnięte dłonie, Bóg pokoju niech za przyczyną Raginæ Pacis sprawi, by upiór nienawiści już nigdy nie rozłączył naszych rąk /.../".

Biskupi w imię chrześcijańskiej zasady miłości zapoczątkowali ideę dialogu między narodami. Zrealizowali w praktyce to, co w komunistycznej formacji pozostało tylko w formie pustych deklaracji. Wystąpili też z pozycji partnerskiej. Sformułowali: "prosimy o przebaczenie" nie było zwrotem retorycznym. Każdy dialog musi być prowadzony w oparciu o Prawdę. Nie można twierdzić, że Niemcom nie wyrządzono żadnej krzywdy. Prawdą jest bowiem, że w miarę przesuwania się w 1945 roku frontu na zachód, żołnierze Armii Czerwonej popełnili wiele zbrodni na niemieckiej ludności cywilnej: gwałty, grabieże, morderstwa nie mogą być niczym usprawiedliwione. Znane są przypadki, że w takich przestępstwach brali niestety i udział Polacy - wprawdzie nieliczni - ale jest to fakt, którego nie wolno przemilczać w sytuacji mówienia o zbrodniach innych. W okresie powojennym zanotowano także przypadki aktów nienawiści w stosunku do ludności pochodzenia niemieckiego. I o tym też pamiętać trzeba.

Kościół w Polsce postanowił doprowadzić do pojednania, wybierając najbardziej humanistyczną metodę postępowania. W liście pasterskim do wiernych, w lutym 1966 roku biskupi polscy pisali *) :

"/.../ 4. Powiedzieliśmy: "I prosimy o przebaczenie". Czy naród polski ma powód do tego, by prosić swych sąsiadów o przebaczenie? Zapewne nie. Jesteśmy przekonani, że jako Naród nie wyrządziliśmy przez wieki narodowi niemieckiemu krzywd /podkreślenie moje/ politycznych, gospodarczych i kulturalnych. Ale też wyznajemy chrześcijańską zasadę, tak podkreślaną ostatnio również w wielu dziełach literatury że "nie ma ludzi niewinnych" /A.Camus/. Jesteśmy przekonani, że nawet gdyby jeden jedyny Polak okazał się człowiekiem niegodnym, gdyby nawet jeden jedyny w ciągu historii spełnił czyn niegodny, już mielibyśmy powód do wyrażenia: "przepraszamy", jeżeli chcemy być narodem ludzi szlachetnych i wielkodusznych, narodem lepszej przyszłości /.../".

Pierwszy atak na Kościół nastąpił 10 grudnia 1965 roku na łamach "Życia Warszawy" i "Słowa Powszechnego" a w dwa dni później "Trybuna Ludu". Publicysta "TL" jako pierwszy wysunął zarzut, iż tekst orędzia nie był konsultowany z rządem PRL, który "...jako jedyny powołany jest do autorytatywnego występowania w tych sprawach na zewnątrz...". Jako "dowód samowolnej inicjatywy" podano przebieg konsultacji mieszanej komisji obydwu Episkopatów /w jej skład wchodził ze strony polskiej: abp B.Kominek, abp Karol Wojtyła i bp J.Stroba, ze strony niemieckiej biskupi: Franz Hensbach, Joseph Schroeffer i Otto Spuelbeck/. Stwierdzono dalej, że biskupi niemieccy stanowią "elementy rewizjonistyczne" nie zasługujące na jakikolwiek dialog i popierający politykę ówczesnego kanclerza federalnego Erharda. Zaskakująca była "analiza" treści orędzia przez komunistyczny dziennik. Pisano m.in.: "/.../ Pierwsza część "Orędzia" składa się z wywodu historycznego, stanowiącego spojrzenie na historię Polski - i historię w ogóle - z wąsko pojętego religianckiego, bo już nawet nie religijnego punktu

*) List pasterski Episkopatu Polskiego do duszpasterzy i wiernych z dnia 10 lutego 1966 r., Wiadomości Archidiecezjalne Warszawskie, kwiecień 1966 r.

widzenia /.../ sic!/. Następnie potępiono Kościół za to, iż postawił w równym rzędzie obydwu państwa niemieckie. Dla organu KC komunistycznej partii RFN była państwem bandytów, imperialistów itd., zaś NRD "wolną ojczyzną Niemców". A wolność tę otrzymali oni "...od żołnierza polskiego, który u boku Armii Radzieckiej..." - oszczędźmy sobie dalszego cytowania. Oskarżono biskupów o zdradę narodu polskiego i akceptowanie zbrodni hitlerowskich. Przy okazji na łamach wszystkich bez wyjątku dzienników partyjnych, SD, ZSL, "PAX-u" i innych ukazały się artykuły insynuujące masowy udział katolickich duchownych niemieckich w eksterminacji ludności polskiej w czasie II wojny światowej. Publikowano też szereg materiałów i listów oszczerczych pod adresem Prymasa Polski. W jednej z gazet z 7 lutego 1966 r. znalazłem "list otwarty" do Prymasa. Pisał go człowiek, który opuścił seminarium wrocławskie. Był kolegą kursowym kardynała. Nie wymienił jego nazwiska, nie przypuszczam aby żył jeszcze... Ogrom kalumni rzuconych przez osobę bliską adresatowi przeraża. Zacytuję kilka fragmentów tego listu:

".../ Obecnie zmieniasz swego Mistrza na nauczyciela z USA, prof. Halekiego. Złączyła was nienawiść do Polski/.../. Kościół w Polsce stał się dla ciebie za ciasnym. Poczujesz na sobie orle skrzydła. Wybrałeś Rzym i tam ogłosiłeś swoje rzymskie orędzie. To brzmi bardzo dumnie. A ponieważ wszystkie drogi prowadzą do Rzymu od razu stałeś się bardzo głośnym. Tam znalazłeś rezonans dla swojej konspiracji. Wokół twego pastorału i św. peliusza skupiły się wszystkie ciemne, złe siły zachodu, cała emigracja Londynu i Monachium /.../. Kiedyś czytywałem się w historii prymasa Poniatowskiego. Jesteście zadziwiająco do siebie podobni. Był bezwzględny dla wszystkich, którzy mu uległości nie okazowali. Mściwi i niebezpieczny dla tych, którzy mu w drogę wchodzi. Wiele myśli o sobie /.../. Dziękuję za twój ostatni list. Dziękuję również za przesłane mi 2.000 zł, będę je spać od dziś ratelnie /.../".

Atakowano, przedstawiając zdezorientowanemu społeczeństwu spreparowaną papkę propagandową; nie publikując tekstu orędzia, z którym tak zawzięcie walczono. 15 grudnia 1965 r. Sekretariat Episkopatu ogłosił komunikat, informując o założeniach posłania do biskupów niemieckich. 19 grudnia biskup Zygmunt Choromański, sekretarz Episkopatu Polski w czasie kazania w kościele św. Aleksandra w Warszawie mówił:

".../ W ostatnich dniach jakiś jazgot w całej Polsce zapanował, jakieś wrogie siły ogłosiły polskiemu społeczeństwu, że Episkopat nie chce ziem zachodnich i że Episkopat zdradza Polskę. Co to wszystko ma znaczyć, co to za jazgot? Czy było uczciwą rzeczą wszczynać po emikę a nie dawać tekstu orędzia biskupów? Dopiero w tych dniach ukazało się orędzie biskupów polskich do biskupów niemieckich w miesięczniku, który niestety tę sprawę zniekształcił. Ten tekst wydrukowany w "Forum" ma zniekształcenia, cenzura nie mogła sobie pozwolić na taką odwagę, żeby cały tekst dać do druku. Jeżeli ganiecie biskupów, to dlaczego nie dacie społeczeństwu zapoznać się z tym tekstem, dopiero teraz w tych dniach ogłoszonym, ale zniekształconym, są opuszczenia.

Najmilsi, pamiętajcie o tym, że biskupi, że Kościół nie będzie przemawiał językiem marksistowskim, językiem komunistycznym. Kościół będzie przemawiał swoim językiem, Kościół nie będzie jątrzył, nie będzie pobudzał coraz większej nienawiści /.../".

Tego samego dnia Prymas Polski kardynał Stefan Wyszyński w czasie nabożeństwa w warszawskim kościele Najczystszej Serca Marii swoje kazanie poświęcił Orędziu mówiąc między innymi:

".../ I gdy w ten sposób w naszym liście przedstawiliśmy te powiązania, później pokorna prośba - pozostanie z nami w jedności, to właśnie główny nurt naszych listów. Główne treści, jak widzicie nie polityczne, bo nasi ministrowie spraw zagranicznych takimi treściami

się przecież nie posługują, nie rozmawiają z ministrami spraw zagranicznych w innych krajach a więc nie weszliśmy w ich kompetencje, bo mówiliśmy treściami czysto religijnymi. Po coś więc krzyku, po coś więc taki hałas? W imię jakiego prawa - Boże kochany, jakże trudno jest mówić o prawach! Gdybym ja zapomniał chociaż na chwilę, będąc nieraz prawie cztery miesiące poza krajem, że jestem Polakiem. Nie mogę tego zapomnieć i muszę pamiętać, że reprezentuję swój naród, choć nia mam do tego mandatu politycznego i to jest moje prawo, to jest moje prawo, muszę się tak przyzwyczaję zachowywać, żebym ujmę mojemu narodowi nie przyniósł. I wydaje mi się, że dotychczas - być może macie inne wiadomości - ale, że mnie się to jakoś udaje, że ujmę mojemu narodowi nia przyniosłem /.../. Domagano się od nas, dla czegośmy tych listów naszych nie posłali do odpowiednich czynników. Nia ma zwyczajnie przecież, żeby listy pisane do określonych osób rozsyłać na wszystkie strony. Wy też, gdy piszecie do swojej córki czy matki, przeznaczacie list dla niej a nie dla całego świata. I my nie mieliśmy takiego obowiązku. A nawet gdybyśmy chcieli dzisiaj ogłosić nasze listy, to co by z nimi zrobiła cenzura, jeżeli nawet w piśmie niemalże oficjalnym dokonano tych najrozmaitszych poprawek i skreśleń. Czy wtedy ten list byłby autentyczny? Mając przed sobą taką perspektywę wolę milczeć i dlatego też dzisiaj, drodzy moi, mówię tylko tyle: nie zamierzam polemizować i nie będę na tym poziomie prowadził polemiki, bo to nie jest poziom. Ja tylko wam, jako dzieciom moim, by was uchronić od zgorznięcia, może nieufności, bo my wiemy, że prasa jest potężną rzeczą, zwłaszcza, że ja nie mam pism katolickich, w których mógłbym wyjaśnić jak prawda w rzeczywistości wygląda. Pozostaje mi raczej milczeć i wolę się nie odzywać /.../".

W kampanię przeciwko Kościołowi zaangażowano wielu znanych ludzi. Wypowiadali się na ten temat m.in. Zbigniew Żaluski, prof. Konstanty Grzybowski, prof. Marian Zychowski i inni. Temat poruszano na obradach sejmowych w połowie grudnia, gdzie poseł Zygmunt Filipowicz /Chrześcijańskie Stowarzyszenie Społeczne/ potępił istotę dokumentu. J. Zawieyski złożył wówczas bardzo ostrożnie w treści oświadczenie koła posłów "ZNAK". Istotą jego było "zachowanie spójności narodu przed światem".

Apogeam kampanii antykościelnej przypadło na I kwartał milenijnego roku 1966. Rozpoczął ją "Żołnierz Wolności", który w cyklu komentarzy *) "Sutanna i swastyka" z 10, 11 i 12 stycznia pisał m.in.:

"/.../ Trzeba przeto stwierdzić, że biskupi niemieccy ponoszą w pełni moralną odpowiedzialność za zbrodnie reżimu hitlerowskiego. Trzeba też stwierdzić, że do tej postawy z okresu hitlerowskiego episkopat niemiecki nigdy nie ustosunkował się samokrytycznie. Do takich adresatów skiarowali biskupi polscy swe: przebaczymy i prosimy o przebaczenie /.../".

Tak ewidentnych kłamstw nie było w prasie PRL-owskiej od lat 50-tych, kiedy to oskarżano żołnierzy AK i innych patriotów o zbrodnie przeciw narodowi polskiemu. Kościół niemiecki poniósł wiele bolesnych strat w okresie hitleryzmu. Znany jest przebieg procesu proboszcza berlińskiej parafii św. Brygidy, Lichtenberga, który potępił praktyki maszyny totalitarnej. Znane jest też stanowisko w stosunku do hitleryzmu większości biskupów niemieckich. Przedmiotem obrad Konferencji Episkopatu Niemieckiego w marcu 1933 roku w Fuldzie było określenie stosunku Kościoła do faszyzmu. Na tej konferencji bp von Freysing przestrzegał przed związkami katolików z narodowym socjalizmem. Później były już prześladowania. W kwietniu 1933 roku kardynał Bertram

*) Autorem tych komentarzy był Stefan Zieliński.

w swej skardze do prezydenta Hindenburga występował w obronie prześladowanych działaczy katolickich. Wydarzenia rozwijały się dalej. W Dachau i Oranienburgu ginęły pierwsze ofiary - wśród nich wielu duchownych. Rozwiązano Katolicki Związek Nauczycielski i katolickie organizacje studenckie.

14 stycznia 1966 roku w przemówieniu wygłoszonym podczas sesji OK FJN Jerzy Turowicz podkreślił humanistyczne akcenty listu biskupów polskich i konieczność wypracowania w skali ogólnospołecznej norm mogących zapewnić pojednanie dwu narodów. Mówił o konieczności zjednoczenia narodowego i docenienia postawy Episkopatu. Była to jedna z bardziej rozumnych wypowiedzi osób świeckich w tej sprawie. Inni jakby nią dorośli do doniesioci akt, którym było Orędzie. Redaktora naczelnego "Tygodnika Powszechnego" zaatakował na tej samej sesji Gomułka, który "...solidaryzując się w pełni z raferatam tow.Ochaba..." zarzucił Turowiczowi "zawężenie sprawy" i reakcjonizm. Dla ówczesnego i sekretarza KC język biskupów był "politycznym językiem reakcji" a "Historia Polski" Haleckiego, na którą powoływali się biskupi, "na poziomie szkółki niedzielnej". Szczególnie histeryczne wywody Gomułki dotyczyły dwu fragmentów tej, wydanej w 1958 roku w Londynie pracy:

1. "/.../ Naród Polski widzi nadal w Stanach Zjednoczonych i ich światowej roli jedyną nadzieję lepszej przyszłości. Chociaż nie wiadomo, kiedy i jak Polacy odzyskają wolność są oni przeświadczeni, że stanie się to w ramach przywrócenia wolności wszystkim narodom, które w roku 1945 podzieliły ich los /.../".

2. "/.../ Kościół katolicki, do którego należą prawie wszyscy Polacy i który jest dla nich zarówno dziedzictwem narodowym jak i łącznikiem ze światem zachodnim stał się najpotężniejszą twierdzą moralnego i duchowego oporu w obecnym okresie ucisku /.../".

Dla Gomułki była to odezwa polityczna wzywająca do zamachu stanu, którą podjął Kościół katolicki. Przy okazji wypowiedział swą credo dotyczące Zachodu, skąd w/g niego zawsze, na przestrzeni wieków spadały wszystkie nieszczęścia, wojny, zabory. W tym przemówieniu u-zewnętrznił się cały prymitywny prosowieizm przywódcy partii, który już wtedy daleko odszedł od haseł październikowych.

W ślad za kampanią prasową poszły i inne represje w stosunku do Kościoła i duchowieństwa. 7 stycznia 1966 r. Szef Urzędu Rady Ministrów PRL, Janusz Wieczorek, skierował do bpa Choromańskiego pismo:

"/.../ Z polecenia premiera rządu PRL Urząd Rady Ministrów zawiadamia, że władze administracyjne nie mogą wyrazić zgody na wyjazd ks. kardynała Stefana Wyszyńskiego za granicę /.../. Fakty wskazują, że ksiądz kardynał wykorzystał swój ostatni pobyt w Rzymie nie tylko dla celów związanych z działalnością religijną, ale również dla działań politycznych, szkodliwych z punktu widzenia interesów Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Ksiądz kardynał Stefan Wyszyński wraz z 35 biskupami polskimi biorącymi udział w IV sesji soboru watykańskiego, wystosował do biskupów niemieckich tzw. orędzia, które w tekście opublikowanym przez zachodniemiecką agencję prasową DPA zawiera sformułowania szkodliwe dla polskiej racji stanu i mogące narazić na szwank interesy państwa polskiego.

Orędzie to zostało zredagowane wspólnie z biskupami niemieckimi w tajemnicy przed rządem polskim, którego ks. kardynał Stefan Wyszyński nie uznał za stosowne powiadomić o zamiarze wysłania orędzia do biskupów niemieckich i - co więcej - po dzień dzisiejszy nie dostarczył rządowi polskiemu oryginalnej wersji tego orędzia, mimo, że Urząd do Spraw Wyznań zwrócił się o to jeszcze 3 grudnia ub.r.

Ten w istocie swej z gruntu polityczny dokument nie mógł być nie wykorzystany zarówno przez biskupów niemieckich jak i przez zachodnio-

niemieckich rewizjonistów w tym celu, by wykazać sprzeczność z polityką zagraniczną rządu polskiego a stanowiskiem biskupów polskich wyrażonym w ich orędziu, w którym nie bez podstaw znaleźli odskocznię dla zakwestionowania najżywniejszej, rozstrzygniętej przez historię i przez układy międzynarodowe sprawy nienaruszalności granicy Polaki na Odrze, Nysie i Bałtyku /.../.

Sprawa jest jednak poważniejsza. Biskupi polscy a zwłaszcza kierownictwo Episkopatu, mimo że dzisiaj dobrze widzą szkodliwe dla Polski skutki swego orędzia do biskupów niemieckich, z uporem i zjadliwością usiłują go obronić, wszelką krytykę politycznej treści tego orędzia usiłują przedstawić jako ataki na Kościół katolicki, jako oszczerstwa i wymysły. Przewodzi w tym ksiądz kardynał Stefan Wyszyński. Można z tego wyciągnąć tylko jeden wniosek - pragnie on nadal kontynuować swoją politykę, sprzeczną z żywotnymi interesami narodu i państwa polskiego.

Niezgodne z historią, szkodliwe dla polskiej racji stanu i nia liczące z godnością narodową są także inne sformułowania orędzia, a zwłaszcza prośba o przebaczenie nie popełnionych przez naród polski win, co w zestawieniu z olbrzymimi krzywdami doznanymi przez nasz naród wywołało słuszne oburzenie całego społeczeństwa polskiego. W konsekwencji orędzie spowodowało na terenie NRF i innych krajów szereg wystąpień godzących w najżywniejsze interesy narodu polskiego, a fakt samowolnego opracowania go i dopuszczenia do opublikowania ułatwił elementom odwetowym w NRF szerzenia propagandy skierowanej przeciwko Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej.

Stwierdzenia powyższe wyczerpują istotną część przepisu art.4 ust. 2 pkt. 3 ustawy o paszportach zagranicznych, który mówi: "Właściwy organ może /.../ odmówić wydania paszportu w przypadku gdy /.../ osoba ubiegająca się o paszport w czasie swego pobytu za granicą działała na szkodę interesów Polskiej Rzeczpospolitej Ludowej" /.../".

W odpowiedzi Sekretarz Episkopatu w liście do Cyrankiewicza w dniu 10 lutego pisał:

"/.../ Episkopat nie może się zgodzić z szeregiem sądów i oskarżeń zawartych w wyżej wymienionym piśmie a przede wszystkim z samą zasadą, wedle której owe sądy i oskarżenia są wydane. Wadliwość zasady polega na tym, iż sąd o millenijną korespondencję Episkopatu Polski z Biskupami niemieckimi /co jak wiadomo stanowiło tylko jeden z elementów millenijnej korespondencji z różnymi Episkopatami i wspólnotami chrześcijańskimi/ - został urobiony w głównej mierze na podstawie tego, jak na tę korespondencję zareagowała pewna część opinii zachodnioniemieckiej a zwłaszcza prasa rewizjonistyczna. Taka metoda formowania sądu o wymienionej korespondencji, zarówno jako o fakcie jak też jako o treści, jest niezgodna z podstawowymi przesłankami logiki oraz etyki. Prawidłowo sąd o czynie ludzkim możemy wyrobić tylko przez wniknięcie w zespół obiektywnych oraz subiektywnych składników tego czynu. Jak długo brak pełnej i wszechstronnej znajomości tych składników, sąd o czynie nie może być urobiony prawidłowo. Jeżeli zaś jest urabiany na podstawie czynników trzecich, a zwłaszcza tendencyjnych, wówczas sąd ten bardzo łatwo może nosić charakter insynuacji czyli pomówienia. /.../ Biskupi są pasterzami Kościoła i nauczycielami moralności. Nie posiadają kompetencji polityków i nie chcą jej posiadać. Ani podczas uroczystości 20-lecia Kościoła na Ziemiach Zachodnich, ani też w korespondencji millenijnej z Biskupami niemieckimi nie przywłaszczali sobie żadnej kompetencji politycznej, nie podejmowali żadnej akcji czy negocjacji politycznej, nie formułowali żadnych politycznych tez. Wypowiedzi ich należy interpretować w świetle ich obiektywnej zawartości oraz w zgodności z urzędem i posłannictwem jakie spełniają /.../.

Listy Episkopatów, polskiego i niemieckiego, mają inny charakter niż Memorandum. Żaden z nich nie jest referatem teologiczno-etycznym, dotyczą zasadniczo uroczystości Tysiąclecia Chrztu Polski. W tych swoich fragmentach, w których listy te dotyczą stosunków polsko-niemieckich, sprowadzają ten trudny problem na płaszczyznę moralności, zgodnie z urzędem i posłannictwem autorów.

Sprowadzenie stosunków polsko-niemieckich, zwłaszcza współczesnych na płaszczyznę moralności międzynarodowej posiada podstawowe znaczenie z tej racji, że wszystkie sprawy ludzkie, również i sprawy międzynarodowe porządkują się wedle zasad moralności.

W interesie narodu i państwa polskiego leży jak najbardziej, ażeby jego dzisiejsza pozycja, zwłaszcza zaś jego obecność na Ziemiach Zachodnich, została ugruntowana na zasadach moralności /.../.

Episkopat Polski stwierdza, iż zawarte w piśmie Urzędu Rady Ministrów zdanie, które imputuje Biskupom, iż "widzą szkodliwa dla Polski skutki swego orędzia" jest całkowicie arbitralne i z gruntu niesprawiedliwe.

Episkopat Polski, odwołując się do podstawowych praw człowieka, a także zagwarantowanych Konstytucją praw obywatelskich, prosi i żąda - aby w sądach i ocenach na wyżej poruszony temat stosowano interpretację zgodną z faktami i dokumentami a nie interpretację zniekształcającą, która pociąga za sobą zniesławienie Biskupów polskich a równocześnie szkodzi polskiej racji stanu. Jednocześnie zaś Episkopat uważa za słusne i celowe, aby w imię polskiej racji stanu z dokumentów na jakie się w niniejszym memoriale powołujemy zostało wydobyte to wszystko, co służy sprawie Polski oraz jej obecności na Ziemiach Zachodnich, a na co w niniejszym piśmie bodaj w zarysie staraliśmy się wskazać.

Wyrażamy przy tym pogląd, że nie zwalczanie Księdza Prymasa i Episkopatu w oparciu o wyrwane z pełnego kontekstu zdania z listów oraz tendencyjne ich naświetlenie służy polskiej racji stanu, ale podjęcie i kontynuowanie rzetelnego wysiłku, który zmierza do ugruntowania praw naszego narodu, a zarazem do uchylenia niebezpieczeństwa wojny i umocnienia pokoju /.../.

W odpowiedzi z 5 marca Cyrankiewicz całkowicie odrzucił argumenty zawarte w liście Episkopatu Polski. Oskarżył polskich biskupów o organizowanie na Zachodzie antypolskiej kampanii propagandowej i chęć restytucji "kapitalistyczno-obszarniczego" ustroju Polski. W tym miesiącu zastosowano dalsze ograniczenia dla polskich duchownych. Np. biskupom wyjeżdżającym na kilkumiesięczną sesję soborową pozwolono zarobić z kraju po 5/pięć/ dolarów USA na osobę. W wymianie korespondencji między Episkopatem a Urzędem Rady Ministrów przedstawiciel tego ostatniego stwierdził, iż Episkopat Polski jest finansowany ze środków Episkopatu Niemieckiego. Zarzucono tym samym agenturalne działania polskim duchownym. Kampania oszczerstw rozwijała się coraz bardziej, nie przebijając w środkach. Duchownym pozostały tylko ambony. Wygłaszając kazanie w kościele św. Aleksandra w Warszawie 20 lutego 1966 r. bp Zygmunt Choromański mówił:

"/.../ Najmilsi. Ciągłe i ustawicznie karmieni jesteśmy różnymi inwektywami przeciwko Kościołowi, przeciwko Episkopatowi, przeciwko Prymasowi. Ostatnio ukazały się dwa artykuły-tasiemce, które zarzucają - jeśli to można nazwać zarzutem, że Prymas walczył z komunizmem naszym, że zawsze był ksiądz Wyszyński przeciwko komunizmowi. To chyba jest tylko pochwałą, chyba tylko to jest zrozumieniem funkcji Kościoła? Ja słyszałem też pewnego razu w Watykanie od jednego z dygnitarzy państwowych: ", powiada, ksiądz dobrze walczy z komunizmem, my pamiętamy te artykuły w "Kurierze Warszawskim". A ja powiedziałem tak: Tak, nie wstydzę się tego, walczyłem z komunizmem, walczyłem z panią Wandą Wasilewską, kiedy chciała Związek Nauczycielstwa Polskiego sko-

munizować, tego się nie wstydzę, tego nie cofam, to wszystko prawda /.../".

Cykl kazań na temat orędzia wygłosił też Prymas Polski. Dla pełnego zrozumienia tamtej sytuacji przedstawię fragmenty trzech z nich:

"/.../ Zawsze się okazywało w Ojczyźnie naszej, że ilekroć uderza się w pasterzy, tylekroć owce w Polsce skupiają się jeszcze bardziej przy pasterzach. I lud polski zawsze rozróżnia co jest z prawdy, co jest z kłamstwa.

I może w pewnym momencie jest zaskoczony, ale tak uporczywie i tak wytrwale dochodzi prawdy, aż ją rozpozna i wtedy się uspokaja. Wzmacnia się jeszcze zaufanie do pasterzy /.../. Bo my nie możemy kłamać, my nie możemy błagawać, my nie możemy pochwalać zła, my nie możemy nazywać dobrym tego co złe. Tak śpiewaliśmy w prefacji konsekracyjnej swą prośbę, żeby nie nazywać tego co złe - dobrym i żeby nie nazywać tego co jest dobre złem. To jest obowiązek biskupa. My nie możemy się płaszczyć, najmilsze dzieci, przed chwilową racją stanu. My jesteśmy przepowiadaczami Bożej Ewangelii, Prawda Bożej i dlatego też - prawda przez nas głoszona, cała otwartość Ewangelii - nie zawsze może się podobać. Trzeba ją jednak powiedzieć od początku aż do końca, bo biskup nie może odmienić ani jednej litery Zakonu Bożego, aż wszystko będzie wykonane. I taką postawę zajmowaliśmy na Soborze i taką postawę zajmujemy w naszej Ojczyźnie i tej postawie pozostaniemy wierni!*)

"/.../ Trzeba zrozumieć: na Soborze mówiono dużo o Człowieku, o jego wysokiej godności, żeby to potworne widowisko ostatniej wojny nie zaciążyło na psychice ludzkiej i na polityce współczesnej. Żeby, broń Boże, nie podjęto prób, które już wydały tak gorzkie owoce i żeby znówu nowy człowiek nie był więziony nie tylko w piecach krematoryjnych ale i w całym życiu społecznym i w życiu politycznym i w życiu ekonomicznym. Bo to jest niekiedy jeszcze groźniejsze, niż tragedia pieca krematoryjnego. Co innego jest żelastwo, w którym ginie człowiek a co innego jest ustrój, w którym giną całe narody. To jest dopiero piec krematoryjny, w którym można sponiewierać człowieka...

Kościół musi być obecny w świecie współczesnym, to znaczy musi mówić o tych wszystkich bolesnych sprawach, że są nierozwiązane i w życiu osobistym i w życiu rodzinnym i w życiu gospodarczym i w szkole i w wychowaniu i w życiu społecznym, politycznym i międzynarodowym - musi mówić. Kościół musi wydobyć z Ewangelii swoje moce i obdzielić nimi zaleknione, zatruwione, ściśnięte serca, żeby się dłonie wyprostowały, żeby zawziętość nas opuściła, żeby wypadły te czerepy rdzewiejące, którymi my obdzielamy ludzi zamiast obdzielać ich żywym braterskim, gorącym sercem /.../" (**).

"/.../ Wydaje się, że te sztuczne bariery, które tworzy się między Kościołem a państwem, głoszenie rozdziału Kościoła i państwa, że laicyzacja, że to wszystko są przebrzmiałe hasła, że jest to raczej szkodliwe, że trzeba raczej szukać innych rozwiązań: jakby tu jeszcze współdziałać dla dobra ludzkości w każdej dziedzinie. I to jest chyba aktualne, to chyba jest postępowe. A te hasła, którymi tak często jeszcze dzisiaj zapewnione są gazety, należą - jako stare rekwizyty teatralne, zbędne już - raczej do muzeum i do lamusa. Więc trzeba Kościołowi stworzyć sposobność pozytywnego wpływania na życie rodzinne, na wychowanie młodego pokolenia, na moralny układ stosunków społecznych i gospodarczych /.../. Ołbrzymie to są dziedziny, które i nas, najmilsi, w Polsce bardzo bardzo obchodzą /.../.

Wystarczy wziąć do ręki prasę, żeby widzieć, że to jest właściwie

*) Homilia wygłoszona w Bazylice Jasnogórskiej 30.I.1966 r.

***) Homilia wygłoszona w Kościele Zbawiciela w Warszawie 13.II.1966 r.

produkcja poniewierki ludzkiej, że nasza prasa nie umie miłować, że za najważniejsze zadanie uważa sobie opluwać kogo się da. To nie jest w duchu chrześcijańskim. To nie jest budowanie, to nie jest robota ani narodowa, ani państwowa, to niewiedomo jaka jest robota i naprawdę trzeba tych naszych braci z prasy, co mają władzę i maczają pióra w atramencie, a może w brudzie własnej duszy, żeby te pióra sobie umoczyli w sercu, w swojej serdecznej krwi, żeby przestali bluźnić i znieważać własny naród i jego biskupów. To najwyższy czas, żeby się naaza prasa epamiętała, bo mamy już dość tego wszystkiego, tego opluwania nieustannego wszystkiego co my kochamy, co jest dla nas święte. I my wołamy w tej chwili do tych, co mają władzę i nad piórem i nad papierem i nad gazetami i nad cenzurą: Zastanówcie się nad tym, co wy czynicie i do czego wy prowadzicie, co wy chcecie osiągnąć, czy chcecie dać pokój temu narodowi, czy rozdrażnić go do najwyższych wymiarów, do czego to właściwie prowadzi? /.../ Gdybym nic nie był wart to by się mną nie zajmowano. Miałem być coś wart ostatecznie, jeżeli moją biografię się wypisuje w gazetach. Sam bym nie mógł tego zrobić. Nie umiem o sobie pisać, ale to wszystko wypisz - czytajcie sobie, może się przekonacie, czy rzeczywiście Wasz biskup tak się źle zachowywał przed wojną i tak źła myślał - czy też może miał rację? /.../")

Wyliczenie wszystkich inwektyw, którymi obrzucano głównie Prymasa Polski i innych duchownych /np. arcybiskupa B. Kominka/ zajęłoby wiele stron. Dość powiedzieć, że nazwano ich faszystami, reakcjonistami, ciemnymi klerakami, agentami imperializmu i antysocjalistami. W ślad za tym wprowadzono szereg ograniczeń administracyjnych dla Kościoła; wstrzymanie budowy świątyń, wyjazdów zagranicznych, kontrolę wydatków funduszy kościelnych. Represje objęły też niektóre grupy praktykujących katolików, np. nauczycieli - zakazy uprawiania praktyk religijnych, agitacja do partii itp. to wszystko rozciągało się w czasie aż do końca epoki gomułkowskiej. Końcowym akordem hałaśliwej kampanii propagandowej było przemówienie Gomułki wygłoszone 17 kwietnia 1966 r. podczas parteitagu w Poznaniu. Podtrzymał on tam wszystkie swoje demagogiczne argumenty i występując jako przedstawiciel narodu polskiego // odmówił hierarchii kościelnej prawa zabierania głosu w sprawach publicznych... A jednak Kościół wygrał tę batalię. Obchody Millenium objęły cały kraj, gromadząc całe społeczeństwo polskie wokół swoich pasterzy.

*) Homilia wygłoszona w kościele p.w. Matki Boskiej Nieustającej Pomocy w Warszawie 20.II.1966 r.

"AB"

Mieczysław Ludwik Boruta-Spiechowicz

13 października 1985 roku zmarł w Zakopanem ostatni generał II Rzeczypospolitej Mieczysław Ludwik Boruta-Spiechowicz.

"Kiedy odchodzi taki człowiek - powie nad trumną Lech Wałęsa - pozostałe nie tylko uczucie żalu, ale jednocześnie głębokiej zadumy. Jak wiele można zrobić dla Polski, dla Polaków, jak pięknie można żyć".

Mieczysław L. Boruta-Spiechowicz urodził się 20.II.1894 r. w Rzeszowie. "Nie żegnamy burżuazyjnego generała - przypomni w pożegnalnej homilii o.E.Rakocy - był piętnastym dzieckiem w rodzinie. Żeby zarobić na kawałek chleba bosy, listopadem biegał po ulicach Warszawy i sprzedawał gazety i kwiaty /.../ Gdy miał 11 lat szedł z braćmi w 1905 roku na Plac Teatralny i strajkował przeciwko władzy zaborczej. Śniła się ohłopcuc Polska".

Ten sen o wolnej, sprawiedliwej Polsce będzie towarzyszył mu całe życie. Był człowiekiem, humanistą, którego los może nawet wbrew naturze zrobił generałem. Wieść o formowaniu się legionów zastaje go w Antwerpii, gdzie atudiuje na Akademii Handlowej. Powraca sen o wolnej Polsce. Przyjeżdża jednak za późno. I Kadrowa Komendanta Piłsudskiego już wyruszyła. Zostaje żołnierzem II Brygady Legionów Polakich. "Zawsze byłem drugi" - powie później z goryczą. "Najpiękniejsza karta jego życia, z której był najbardziej dumny, to obrona Lwowa". Tu również był drugim - II komendantem. Ale to jego przeciwieństwo nosili na rękach dziękując za przywróconą wolność. Pozostanie z tego okresu wspomnienie rozstańczonego miasta i Krzyż Obrony Lwowa. A potem, gdy w 1920 roku przyszło bronić odrodzonej Rzeczypospolitej jako dowódca IV Pułku Strzelców Podhalańskich zdobywa Order Wojenny Virtuti Militari. Rok później przypinając mu ten krzyż generał Rozwadowski powie: "Jednemu z najdzielniejszych żołnierzy armii polskiej".

19.III.1936 roku zostaje mianowany generałem i dowódcą 22 Dywizji Piechoty Górskiej. Ma 42 lata. Za sobą błyskotliwą karierę wojskową. Przed sobą świetną przyszłość. Wybucha wojna. Objmuje dowództwo Samodzielnej Grupy Operacyjnej "Bielsko" /w ramach armii "Karpaty"/ a później S.G.O. "Boruta". 13.IX.1939 z grupą trzystu żołnierzy zostaje otoczony i wzięty do niewoli.

Od tej chwili życie Boruty nabiera wymiaru heroicznego. Obok snu o niepodległym kraju pojawia się inny sen, sen o wyzwolonym człowieku - twardym, nieustępliwym wyznawcy chrześcijańskich zasad.

Z przyfrontowego obozu jenieckiego ucieka Boruta do Warszawy, by stamtąd dostać się do Lwowa. Ale jest to już inny Lwów - obcy, bolszewicki. Pod koniec września 1939 r. w ręce Rosjan dostaje się Anders. Boruta w przebraniu, pod fałszywym nazwiskiem /Morawski/ odwiedza go w szpitalu i informuje o swoim planie przedostania się do Francji. W kilka dni później ukrywający się w zakładzie psychiatrycznym Morawski vel Boruta-Spiechowicz zostaje aresztowany przez NKWD i osadzony w więzieniu Brygidki. Z początkiem 1940 roku przewieziono go do Moskwy. Poznaje Łubiankę, Butyrki, Basztę Kaczubieja. Staje przed sowieckim systemem represyjnym. On - polski generał. Przesłuchania odbywają się tylko w nocy, głodowe racje żywności, ból w odbitych stopach. Między przesłuchaniami myśli o śmierci, o wartości swojej wiary. I wtedy przyjeżdża Beria i proponuje mu dowództwo armii polskiej w ZSRR. Boruta wychodzi na wolność. Jako jedyny Polak w historii NKWD otrzymuje z powrotem broń. Od września 1941 r. dowodzi 5 Kresową Dywizją Piechoty w ZSRR. W latach 1943-45 dowodzi I Korpusem PSZ w Anglii. Po

zakończeniu wojny natychmiast wraca do kraju. Ta decyzja wywołała wiele komentarzy. Generał Maczek przez przeszło 30 lat uważał ją będzie za osobisty policzek. A i w Polsce nie przyjęto go z entuzjazmem. Rola-Żymierski zapyta wręcz: "A cóż ty, przedwojenny generał, będziesz robił w takim wojsku?". I kiedy w grudniu 1946 usłyszy od swojego przełożonego K. Świerczewskiego: "MON głosuje jednakowo - 3 x tak", wstanie i powie: - "Po pierwsze wybory są demokratyczne, po drugie tajne a po trzecie każdy ma prawo do swojego zdania".

Brzydził się kręctwem - odziedz. Rzeczywiście nie nadawał się do takiego wojska. Kiedy zmuszony sytuacją materialną zwrócił się do ZBOWiDu o przyznanie mu wojskowej /nawet nie generalskiej/ renty otrzymał w odpowiedzi polecenie, by przedstawił trzech świadków, którzy potwierdziliby jego udział w walkach na terenie ZSRR. Jego - twórcę V Kresowej Dywizji Piechoty. Nie taka Polska mu się śniła.

Z czasem przenosi się do Zakopanego. Kiedy w maju się KOR, czynnie włącza się do jego prac. Jego nazwisko widnieje pod protestem przeciwko zmianom w konstytucji. Gorąco popiera sierpniowy protest robotników. Na I Zjeździe NSZZ "Solidarność" występuje w charakterze gościa honorowego, przemawia. Nawiąże do tego wspomnienia Lech Wałęsa: "Pamiętamy Twój udział i Twoje słowa wypowiedziane na Zjeździe "Solidarności" - słowa otuchy i zachęty".

Był postacią znaną i szanowaną nie tylko na Podhalu. Stała za nim Polska wierna ideałom niepodległościowym i kulturze chrześcijańskiej.

Pogrzeb stał się manifestacją. Przybyli przedstawiciele KPN, Ruchu Obrony Praw Człowieka, Solidarności, Niezależnego Ruchu Harcerskiego. Składali wiencze przedstawiciele wszystkich grup zawodowych i stowarzyszeń. Dziesięć tysięcy osób w strugach ulewnej deszczu śpiewało po raz ostatni swojemu generałowi hymn I Brygady.

Zmarł ostatni zamieszkały w Polsce generał II Rzeczypospolitej. Pozostało po nim pragnienie niepodległej, sprawiedliwej Polski. Będziemy to pragnienie realizować, tylko że już bez Niego.

ROZMOWA LECHA WAŁĘSY Z GENERAŁEM BORUTĄ - SPIECHOWICZEM - ZAKOPANE 4.II.1985

Lech Wałęsa - Panie generale, kiedy rozmawialiśmy ostatnio, przedstawił Pan ciekawe wizje. Chciałbym wiedzieć, co Pan teraz przypuszcza, jaki będzie rozwój... Czy Pańskie opinie się pokrywają z moimi, czy nie? Jako uczeń Pański...

Generał Boruta-Spiechowicz - O, to trudno powiedzieć kto jest uczniem, ale sytuacja jest niewątpliwie skomplikowana...

L.W. - Z tym, że jeżeli założymy, że cały nasz problem sierpniowy był wielką nauką demokracji, to przez ten okres "istnienia i nieistnienia" jako społeczeństwo nauczyliśmy się bardzo wiele. Problem tylko teraz, czy w tym drugim etapie, który przewiduję, zdołamy pozbroić to co dobre, a co złe odrzucić. Ogólnie ludzie się trzymają, wiedzą co robić, oczywiście poprawiamy "fundamenty" - strukturalnie rozwiązując problemy gospodarcze i polityczne chcemy oprzeć się na chrześcijańskiej nauce Kościoła lub bardzo blisko społecznej nauki Kościoła. I jak obserwuję - ja trochę jeżdżę, trochę mam informacji - to zaczyna się działać. Ludzie skupiają się przy parafiach, dyskutują, jak to w naszym kraju powinno być. Ja ogólnie z tego jestem zadowolony, dlatego, że ten okres istnienia nas, "Solidarności", był zbyt galopujący, społeczeństwo było zbyt nierozważne, zbyt daleko chciało sięgać, a nie miało siły, bo nie mogło jej mieć...

Gen.B.-S. - Nie było przygotowane...



L.W. - Nie, bo nie mieliśmy szans, nikt by nam nie pomógł. Ja znam sytuację zewnętrzną, rozmawialiśmy z różnymi krajami i byliśmy tylko i wyłącznie sami. Dzisiaj również jesteście zdani w dalszym ciągu tylko na siebie. A jeśli na siebie, musimy iść spokojną drogą ewolucji - nie rewolucji.

Trzeba wzmocnić fundamenty i zastanowić się jak - jeśli będzie szansa, a ona będzie - jak szybko zrobić z tego kraju taki kraj, jaki sobie życzymy. Ja się tylko boję, żeby się ktoś nie włączył, bo idzie nam za dobrze! Ilu ludzi dołączyło, ilu ludzi się zreflektowało, ilu ludzi dziś pracuje nad tym, żeby tę Polskę zrobić piękną i dużą, dużą możliwie... Tak, że to musi przynieść efekty. Oczywiście - płacimy: ksiądz Popiełuszko; oni tylko mają siłę, bez argumentów. I tu musi przyjść czas na klęski i zresztą przyjdzie, moim zdaniem.

Gen.B.S. - Mnie się wydaje, że ta ocena jest bardzo optymistyczna - jeżeli liczy się na własne siły... Bo mamy ucisk potężny. Zapomnieliśmy już dzisiaj, doszliśmy do tego, że zapomnieliśmy o tym, że miliony Polaków zostało zesłanych na Daleki Wschód. Co się z nimi dzieje, kto się nimi interesuje? W jakiej sytuacji jest dzisiejsza Polska w stosunku do tej straty jaką poniosła i do jakiego stanu nas doprowadzono, że w ciągu tych kilkudziesięciu lat nikt nawet nie wspomni o tym. Przecież my ponosimy olbrzymią winę tego zapomnienia o ludziach zesłanych... No, przecież jestem obrońcą Lwowa. Doszedłem gdzieś tam do Zbrucza, a potem zdobywałem po kolei Lwów, Kamieniec Podolski, War. Tak się jakoś złożyło, że zdobywałem i zdobyłem te wszystkie miejscowości. I co się z tym wszystkim stało?! Przecież tam byli patrioci, Polacy, najwięksi z całego narodu polskiego. I to wszystko zostało zesłane. Dobrze, że się znalazł Wałęsa i jakiś jeszcze milion ludzi, ale takiego gniotu, takiego nieszczęścia, to myśmy nie przeżywali w

swojej historii! Ma patrzemy na to wszystko z zapomnieniem. Tam, skąd ja przyjechałem - z dalekiego Zachodu - zupełnie zatraciła się siła polskiego ducha. Więc jesteśmy w bardzo trudnej sytuacji i nikt nam nie pomaga.

L.W. - Z tym, że ja, Panie generale - całkowicie się z Panem zgadzam - z tym, że...

Gen.B.-S. - Jedno co mamy, przepraszam - to mamy Piepieża... Bez niego już byśmy w ogóle nie istnieli.

L.W. - Tak, na dziś ocena Pana Generała jest słuszna, nie mniej jednak pokolenie moje i młodszy - naprawdę o tym pamiętają, tylko, że na dziś nie mamy szans w tym temacie nic zrobić. Ale to musi zacząć procentować. Trzeba pamiętać, że nas zdradzono.

Gen.B.-S. - Ja myślę, że jest trochę optymizmu w tym, że będziemy liczyć na przyszłość, a nie na to co jest teraźniejszością... A teraźniejszość jest zabójcza. Ja nie widzę właściwie możliwości, ugdzęźliśmy. Zrobił ktoś, nazywa się Wałęsa, ruch, który poruszył cały naród. I to ważyło za mordę i zniszczono. Ale zostaje - że to było. I to już absolutnie ma swoją wartość.

L.W. - Po 40 latach tego szkolenia, kiedy zniszczono demokrację, zniszczono najlepszych ludzi, to za jednym podejściem nie można było zrobić dużej rzeczy, nie można. Bo trzeba było zbudować fundament. My od razu gmach budowaliśmy. Ale fundament kiepski, bo 40 lat bagażu. Teraz - i stan wojenny i ta tyrania - musi spowodować, ponieważ nie ma "góry" - budowanie fundamentu. I to się dzieje właśnie. To się jeszcze może mało dzieje, jest mało widoczne, szybciej się nie może dziać, bo nie nadają się inni.

Tak, że Panie generale, jeszcze czekam na rozkaz wymarszu - od Pana. Tylko, tak po znajomości, chciałbym jakiś lepszy przedział...

Gen.B.-S. - Jakie to jest przewidywanie, co? /śmiech/ Wspaniałe!

L.W. - Bo by mnie za bardzo gnębili, a ja chciałbym tak lekko sobie pokierować...

Gen.B.-S. - Ktoś z boku - i nie w piechocie...

L.W. - Nie, ja jestem radiotelegrafiatą.

Gen.B.-S. - A ja pamiętam te czasy, kiedyśmy byli razem... Wałęsa był wtedy Quelque, a ja przyjechałem zobaczyć tego nowego twórcę, no i wlałem w tę olbrzymią halę /Olivii/, zacząłem mówić, nagle cisza śmiertelna, a potem oklaaki, oklaski, oklaski...

L.W. - Ale Pan zrobił, Panie generale, furorę.

Gen.B.-S. - To był napęd na tę drogę, jaką Wałęsa prowadził.

L.W. - Tak! Z tym, że ja przewiduję drugi etap i przewiduję drugie przemówienie Pana generała.

Gen.B.-S. - Ja nie tracę nadziei! Mimo tych przejść olbrzymich, bo bądź co bądź - trzy wojny, siedem więzień, dwa obozy niemieckie, Butyrka, Łubianki, ciemnica miesiąc pod Basztą Kaczubieja. Karmili mnie - trzy piatki kapusty i woda. To było raz na dobę, całe karmienie. A raz na 7 dni - bo ja sobie liczyłem doby przez te posiłki - dawali mi łyżeczkę grochu. Ja myślałem, że oni mnie podtrzymują, żebym nie skończył w tej ciemnicy. Tymczasem później się dowiedziałem, że Pristowa tak samo karmili, ale że to była trucizna. Że w tym grochu było parę kropeł trucizny, tak że po pewnym czasie systematycznie musiałem się skończyć. No i oud Boski, że po miesiącu - jak oni mordują psychicznie - w nocy wyciągają mnie z tej ciemnicy i pakują do wozu: tu ściana, tu ściana, tu ściana i z tyłu ściana żelazna. I tak tych ścian po jednej stronie wozu pięć i po drugiej pięć i takie przejście na jed-

nego człowieka w środku. Dokąd mnie wiozą rano o świcie? Byłem pewny, że na razstrzał. Nagle zatrzymują się - myślę sobie, może źle wykombinowałem i trzeba umierać. Tymczasem jakiś churgot, coś tego, otwierają jakieś bramy, no i wjeżdżamy tam do środka. Wreszcie mnie wypuszczają - myślałem, że pod ścianę, tymczasem każą mi iść na górę. No, jak na górę, to już nie pod ścianę... I ten mnie rozbiera do naga, za przeproszeniem w ... patrzy czy czegoś nie wyniosłem z tego więzienia - no, aby człowieka tak zgniebić i on teraz każe mi zejść na dół i tam - gdzie - do kąpielni. No, jak do kąpielni...

L.W. - A jakie warunki ma Pan generał tutaj, jaka renta, czy starcza?

Gen.B.-S. - 15 tysięcy, starcza mi.

L.W. - Z tym, że gdyby najmniejsze trudności były, to bym się obraził, gdybym o tym nie wiedział. Ja chciałbym, żeby Pan generał nam długo... i przewodził i stąd Pan musi dbać o to, bo nie mamy lepszego, krótko mówiąc...

Gen.B.-S. - No, ale trzeba by w razie... lepszego, bo bądź co bądź, nie zapominajcie, że mam 91 lat i w ten łeb dostałem kilkaset batów. W piąty mnie bili, zdjęli but i dostałem 50 uderzeń kichą w piętę. To muszę powiedzieć, że pierwsze uderzenia nie bołą, a już 11 uderzenie czuję w mózgu i dalsze - to już biją w mózg. Potem zdjęli z drugiej nogi but, no i przy 10 uderzeniu straciłem przytomność. To mnie potem ciągnęli na środek sali, twarzą do podłogi, lali mi z karafki wodę na głowę; jak się ocknałem - padniś, no to się podniosłem, - sadniś, no to usiadłem. I znowu - waaza familia? - Morawski. No a muszę powiedzieć, że pan pułkownik siedział po lewej stronie, jak ja powiedziałem Morawski, to on wstał, poszedł w tył i dał mi w mordę. Tożem wstał, dałem mu podbródkowy - i on leżał. A trzy doby nie jadłem nic. Ale chłop - taki! I możecie sobie wyobrazić, że przeciw ich trzech było - pułkownik, major i kapitan, i ja zyskałem w tych dwóch... oni mnie bili, potem mnie bili w piętę, ale to już byli moi przyjaciele. Mało - teraz mnie wyprowadzają po tym ocknięciu, po tym wazystkim znowu na dół i do piwnicy. Myślałem - do piwnicy - to śmierć. Zawsze wiedziałem, że jak do piwnicy, to kaput. No i myślałem wyrwać nagana kłóremuś jeszcze, ale widziałem, że nie dam rady. Zeszedłem - no i dzięki Bogu żyję. I naatępniej doby prowadzą mnie znowu do góry - ci sami, trzech czekiatów - i ten co z lewej strony uderza mnie w ramię i mówi: no, znajesz, ty młodziu! On mi tak dodał ducha, że ja teraz jak stanąłem, ich już czterech, ten z mordą podwiązaną, a ja nic. Ten cywilny znowu mnie pyta - wasza familia? - Ja mówię: Morawski. Znaczy wy nie choczecie soznawatsja. Ja mówię - chcę, ja jestem Morawski, ale gdybym nie był, a mnie tak traktowano, jak wczoraj pan pułkownik - to za cenę życia bym tego nie powiedział. Wy tak skazali? Ja mówię - ja tak skazał. I wtedy - no tak podażdżicie minutoczku - i wprowadzają profesora Domaazewicza, który był dyrektorem szpitala Kulparkowa. I ten cywilny, Sierow - pyta się go - a eto kto takój? On mówi - to generał Boruta-Spiechowicz. To ja wstałem, nie pytając przywitałem się z nim i powiedziałem: tak jest, ja jestem generał Boruta-Spiechowicz. I Sierow mówi: nia nada bić i wsio w pariadkie. A potem z Berią miałem ciekawe rozmowy, jednym słowem - szkoda gadać.

L.W. - Ciekawi jesteście - Pan generał miał kontakt z generałem Jazrużelskim...

Gen.B.-S. - Miałem z nim kontakty, z nim robiłem sprawy bytowe, groby i pomniki, i jeszcze inne rzeczy, pomocne dla starej wiary. No, jednym słowem, to wszystko z nim przerobiłem. Ale równocześnie miałem siedem zamachów na siebie... Pytam się, czy to robią inni, tak na własną rękę, ludzie tu i gdzie indziej, z którymi się spotykam, czy to idzie od góry? Czy sprawa Popiełuszki - to jest góra, czy tylko samo-

trzeć przez jakieś doły robiona? Mnie się wydaje, że ktoś decydować musi. Bo to za poważne rzeczy, żeby to nie poszło potem na cały naród. I mnie się wydaje, że nie ośmieliliby się ci z "dwójki" robić tak poważne historie - że to musi chyba góra nakazywać. To samo było przecież tutaj ze mną - jeszcze w zeszłym roku przyszedł taki gość, żeby mu się wpisać do pamiętnika. Na tarasie siedziałem, umówiłem się z kim innym, a przyszedł kto inny... I miał jakiś taki aparat, myślałem, że on robi zdjęcia w górach, no więc wziąłem od niego ten albumik i napisałem mu: - Staremu wiarusowi - Boruta. On mnie wtedy spryskał takim środkiem aerosolowym. To jest gaz bezwonny, śmiertelny. W ciągu trzech sekund śmierć. Nie udało się, bo ja byłem tak nechylony i on mi to spryskał na głowę. I ledwie odszedł - mnie rzuciło na podłogę - byłem sam, żona była za granicą, sam w domu... Czuję, że coś się ze mną dzieje - do ubikacji na czworakach się przeczołgałem, i tam, przepraszam za wyrażenie, rzygałem jakieś 10 minut. Po 10 minutach wstałem, tak jak teraz.

L.W. - Ale czy Pan oobiście ma jakiś pogląd na generała Jaruzelskiego?

Gen.B.-S. - Ja liczełem, że to jest polskie dziecko.

L.W. - Ja też, ale nie jestem ostatnio przekonany...

Gen.B.-S. - I robił na mnie wrażenie, no, porządnego człowieka. A ostatnio doszedłem do przekonania, że to jest agent rosyjski. Myślę, że Popiełuszko jest już na Boskim Sądzie, ale, że to poruszy całe społeczeństwo, głęboko - w umysłach i sercach. To nigdy nie zostanie zapomniane w narodzie.

TAKSÓWKARSKIE EPITAFIUM

- To i ty jeździsz. Gratulacje.
- Raczej kondolencje.
- Nie bądź obłudny. Wierzyński taksówkarzem, Wyrzykowski, jeszcze kilku. A Maziarski prowadzi antykwariat. Znajdujesz się w dobrym towarzystwie...
- Nareszcie...
- A widzisz. Nie trzeba było przed dziewięciu laty brać etatu w tamtej redakcji.
- Nie miałem wyboru.
- Zawsze miałeś. Już w siedemdziesiątym czwartym byłeś, jak mówią Francuzi, więźniem opinii politycznej. Dzisiaj więc w naszym środowisku mógłbyś przystroić aię w laury prekursora.
- Nie kpij. Co robisz? Wiem, żeś weryfikacji się nie poddał, a zatem?
- Zatem przeżyłem rok na bruku. Żałowałem, że nie należałem do "Solidarności". Taką mam cholerną naturę, że nie lubię masowych organizacji, rozumiesz, stary? Żałowałem również, że mnie nie przyknęli. Więc, powiadam dosłownie, włożyłem władzy w łapy. A ona, wyobraź sobie, nic. Nie wsadziła, nawet rewizji nie kazała zrobić. Za dużo ma innych, ważniejszych. Pogodziłem się ze świadomością, że jestem nikomu niepotrzebny, przeto niegroźny. Znalazłem zajęcie w prywatnej fabryce produkującej foliowe torebki; stoję przy maszynie i przyciskam odpowiednie guziki. Sporo jak na nasze warunki zarabiam. A najważniejsze, że mam czas na czytanie i pisanie. Od śmierci głodowej uratowała mnie podziemna "Solidarność", bo nasi z niej znaleźli mi zatrudnienie.
- O Wierzyńskim słyszałem. O Wyrzykowskim i innych nie. Jak im się

wiedzie?

- Średnio. Jak i tobie zapewne. Opowiedz o ludziach, których wolisz. Boją się?

- Czego? Jeśli chodzi o wyrażanie poglądów politycznych to nie.

- Oczywiście. Ty jesteś oznakowany, ciebie można w każdej chwili rozpoznać. Oni są anonimowi, chociaż być może lękają się, czy nie wiezie ich konfident bezpiki. Ale jeszcze nie słyszałem, żeby taksówkarz-ubek zawiózł kogoś prosto na komendę...

- Ja też nie.

- Otóż i dlatego ludzie w taksówce wyzwalają swoje tłumione, nigdzie indziej nie, czy rzadko wyrażane, przekonania.

- Et, wszędzie wyrażają, wszędzie mówią, co myślą.

- Jeździsz jak wolny najmita po ulicach. W biurach nie bywasz. W tak zwanych zakładach pracy też nie - to nie wiesz. Nie, nie wyrażają. Albo wypowiadają się lekliwie, duszą w sobie nienawiść. Boją się. A jeżeli chodzi o inteligencję i światlejszych robotników...

- Zaiste, oryginalny to podział...

- Nie ironizuj. Wiesz, o co chodzi. Otóż i ci, i tamci, a szczególnie pierwsi, zaczynają bać się siebie, swego sumienia.

- Oryginalnie ujmujesz, aczkolwiek niezbyt zrozumiale.

- Udajesz, czy naprawdę nie wiesz, co się dzieje? Coraz częściej kłamstwo, chociaż wie się, czym ono jest, bierze się za prawdę albo po prostu - a to już wyższy stopień zagłuszania sumień - kłamstwa nie nazywa się kłamstwem.

- A jak?

- Nie nazywa w ogóle. Nie dostrzega. Jest coś - i koniec. Coś mało ważnego. Chodzi o to, aby nie trzeba się było buntować, aby nie trzeba było wciąż w duszy mówić "nie!". Taka konieczność byłaby jak odcisk. Masy inteligentnie nie chcą mieć żadnych odcisków ani garbów. Chcą żyć. Trzeba żyć. Normalnie. A żyć normalnie, to znaczy w zgodzie z sobą, bez wyrzutów sumienia, bez przygarbień, utykań et cetera. Dziwisz się, że ludzie tak chcą żyć?

- Tak było zawsze. Masami wstrząsały tylko małe grupy. One nadawały im bodziec i kierunek ruchu.

- Naturalnie. Tylko, że jeśli masy zatracą poczucie wyższych wartości, a rozbudzone w nich będą jedynie atawizmy, jeżeli będą w wodce szukać remedium na beznadziejność, a inteligencja dla spokoju kłamstwa kłamstwem nie ^{godnie} nazywać - to powiedz, kiedy nadejdzie owa chwila, gdy moralna elita tego narodu wznieci aktywność mas? Czy od razu ta aktywność nie będzie chora? Weź rewolucję bolazewicką. Wszystkie brudy Roaji carskiej zbrukały od zarania tamten zryw. To nikt inny, ale właśnie owe masy, owa większość, wyrzuciła w Kapsztadzie i gdzie indziej tych spośród tak zwanego ludu rosyjskiego, którzy zbrukać się nie chcieli...

- Porównanie bezsensowne. Inne czasy, inne doświadczenia, inny charakter narodowy...

- Czasy inne. A charakter narodowy? Co to jest? Czy w ogóle coś takiego istnieje? Natomiast ponad wszelką wątpliwość jest człowiek - biologiczny człowiek, ten sam wszędzie, który chce dobrze się odżywiać, dominować, chce władzy i tak dalej. Ten sam potwór. Ta sama myślica biologia. Trzcina na wietrze...

- Skrajność. Przesada. Niezdrowy manicheizm. Wszyscy popadamy w jakieś choroby.

- A tak. Niedługo będziemy chorować fizycznie. Za rok czy dwa najdłuższe kolejki zobaczysz w aptekach. Ludzie o nerwowych ruchach kłócić się będą o pierwszeństwo podejścia do okienka, w którym najczęściej odpowiedzią będzie "nie ma".

My już, stary, nigdy nie wrócimy do naszego zawodu. Chyba, że któryś z nas ucałuje rękę Kiszczaka albo zegnje kark przed inną czerwoną kreaturą. Ukryj dobrze swą legitymację prasową, żeby ci jej ube nigdy

nie zabrało, będziesz miał pamiątkę. A na starość, gdy zidiociejemy, chwalić się będziemy. Mój kolega, nie znasz go, pracował w prasie technicznej, ślubował sobie, że nigdy nie przekroczy bramy naszego dawnego domu przy Foksal, to także dewiacja, mógłbyś powiedzieć, i miałbyś rację. Ale nie pędź tak. Temat cię bierze. Wkrótce się zatrzymamy. Płacę jak normalny klient. Nie rób żadnych ceregieli, bo będzie mi przykro. Mam twój telefon. Masz mój? Zadzwonimy kiedyś. Wpadniesz do nas? Tobie łatwiej, bo nie masz rodziny. Pogadamy przy wódeczce jak z dawnych dobrych lat bywało.

- Dobrych? One też były złe, tylko inaczej, może mniej złe.

- Teraz nam się wydaje, że to były dobre czasy. Jeszcze trochę a okres Gomułki tudzież początki gierkowaczyny utrwala się w pamięci społecznej jako epoka wolności i prosperity. A jeden i drugi aatrapa stanie się nieomal bohaterem narodowym. Słyszeliś wierszyk: "wraoaj, Edziu, do koryta, lepszy złodziej niż bandyta"? Wymowne jest treść tego trywialnego rymu. No to cześć, atary. Trzymaj się dzielnie i rób pieniądze na miarę-awych możliwości. Moralnych możliwości.

Poznaję po akcencie, że ze Śląska.

- Tak - powiada - górnik z Chorzowa. W Warszawie mam brata. Na Pradze. Ale może pan kogoś zabrać z tego postaju.

Wsiada młody o zamyślonej twarzy. W okularach, z krótko podstrzyżonym wąsem. Nic nie mówi. Widzę w lusterku, że z uwagą patrzy na Ślązaka i chłonie jego słowa. A tamten prawi:

- "Solidarność" za szybko pozwoliła poznać swą siłę...

- O nie - replikuje ten drugi - sam cel tej organizacji skazywał ją na zagładę...

- Tak - przyznaje Ślązak - ale gdyby działało jeszcze dwa lub trzy lata dłużej, więcej otwarłoby się ludzkich umysłów. Mogła chytrzej działać.

Wysiadł.

- A pan dokąd? - pytam.

- Pan będzie uprzejmy na Bródno. On miał rację. Lecz jest jeszcze druga strona tego medalu. Wielu działaczy "Solidarności" było przekonanych, że wolne związki zawodowe to niezniszczalne osiągnięcie. Dlatego nie stworzyli żadnych konspiracyjnych ogniw, a więc podziemie zaczynało od improwizacji. A ta, jak wiemy, zdusiła mnóstwo energii. Pochłonęła wiele niepotrzebnych ofiar.

Te poglądy podzielali również niektórzy politycy emigracyjni, politycy z bożej łaski. Zresztą wszyscyśmy, spregnieni odrobiny obywatelskiej wolności, uwierzyli w trwałość solidarnościowych dokonań.

Zachód także mierzył naszą rzeczywistość miarą swych pragnień, bo oni tam na Zachodzie chcą przecież innej Polski, takiej stabilnej, spokojnej. Taka nie byłaby zagrożeniem pokoju. A oni strasznie boją się zamęcenia pokoju, ich spokoju. Z demokratyczną Polską ohcieliby się dogadać, a porozumienie mogłoby być o tyle korzystne, że my rozdzielamy Europę na dwie części. Zachód sobie wyobraża, że za pośrednictwem takiej Polaki będzie mógł pertraktować z Sojuzem.

Polska spędza Europie Zachodniej sen z oczu. Teraz dopiero mogą nas zniechędzić. Wie pan, jak oni przed trzydziestym dziewiątym krzyżeli, że nie będą umierać za Gdańsk?! A teraz zanosi się na coś gorszego - znowu przez nas.

Wiosną 1981 roku byłem we Francji. Tam wszyscy wierzyli, że u nas wali się ayatem. Poznałem jednak młodego Polaka, który w marcu, po desygnowaniu Jaruzelskiego na premiera, przewidywał zagrożenie. Napisał nawet jakiś sążnisty artykuł, przepowiadając w nim zduszenie demokratycznej rewolucji rękami samych Polaków, działających z upoważnienia i nakazu Kremla. Nic dodać, nic ująć - tak się stało.

Ale wtedy nikt, absolutnie nikt: ani polska prasa emigracyjna, ani francuska, nie chciał mu wydrukować tego artykułu. Wszyscy, proszę

pane, i my w kraju, i tamci : emigracji, i Francuzi nie dopuszczali takiej możliwości, jaką on skądś wytrasnął - wymyślił, wyedukował? Wa Francji rosło jedynie napięcie a raczej strach przed zbrojną interwencją sowiecką. Rozumiano prymitywnie: albo Polska ostatecznie zdemokratyzuje się, i tego sobie winszowano, albo upodobni się do Afganistanu, a tego się bano.

Francuska "Wiedomości Literackie" wydrukowały wywiad z Michnikiem o "bombie podłożonej pod system". Bomba. Pod system! Pan słyszy! Teraz wiem, że była to naiwność. Niezwykle optymizm rozkwitał tam i tu. Tu, bośmy nie mogli już dłużej znieść tej sytuacji, i mamy za swoje: teraz musimy znieść o wiele gorszą. A tam, we Francji - bo chciano Polski demokratycznej, pośredniczki między Wschodem a Zachodem i wyplacalnej z długów.

Tak to jest, gdy pragnienia bierza się za rzeczywistość. Ten Ślązak miał rację. Tak czy owak "Solidarność" musiała być zniszczona, gdyż niemożliwa jest w tym ustroju społeczna kontrola władzy. Gdyby była możliwa - totalitaryzm przestałby być totalitaryzmem. Ale mnie się wydaje, że jeśli "Solidarność" od samego początku miała tę świadomość, to mogła, ba - powinna, działać ostrożnie. Kto wie, czy nie byłaby istniała jeszcze kilka miesięcy, jak sobie życzyłby ten Ślązak.

No trudno, nic na to nie poradzimy. O tu, pan będzie uprzejmy.

Na lotnisku wsiada starszy pan. Historyk, profesor Uniwersytetu Warszawskiego. Poznałem go kiedyś, przed laty, w pewnych wzniosłych okolicznościach. Dla niego wszakże byłem i jestem osobą anonimową. Niedawno czytałem jego wypowiedź wydrukowaną w "Tygodniku Powszechnym", w której wywodzi, że czasy ostatnich Jagiellonów są nieznane i nie wiemy, czyśmy wtedy byli zafocani w sferze gospodarczej, instytucyj, idei. Idei! Totalż aż korci, aby podjąć ten temat "nieznanych" czasów ostatnich Jagiellonów. Jak to uczynić? Szukam pretekstu. On tymczasem narzeka, że nawet samoloty się spóźniają. Ma tak mało czasu, a jeszcze traci go z takich powodów. Zafocanie - zdaje się zaraz powie. Jednak nie mówi. Natomiast wyrzuciwszy z siebie irytecję, pograża się w swych myślach.

Przerywam mu ta rozmyślania: - Wraca pan z Krakowa? Tam, zdaje się, z taksówkami jeszcze gorzej.

- A tak, widziałem na postojach wielkie kolajki...

- W Warszawie też niedobrze... Niedawno wioziłem dwie maturzystki na Olszankę Grochowską. Jestem, jak pan postrzege, dość gadatliwy, a więc nawiązałem z tymi pannami rozmowę i pytam, z czym im się kojarzy ta nazwa. Z niczym. Powiadem: powstanie, Chłopicki, pewian dramat wystawiony w telewizji przed stanem wojennym z Holoubkiem w roli głównej. Nic. Po prostu nic nie wiedziały. Zapytałem, jak zrobią maturę. Roześmiały się i odparły, że u nich w szkole do takich wiadomości nie przywiązują się wagi. A w dniu trzecim maja, pod wieczór, dwie dorosłe kobiety siedząc w mojej taksówce dziwiły się, że w kościołach odprawiają się jakieś uroczyste nabożeństwa. I tym razem nie potrafiłem powściągnąć swego gadulstwa i wścibstwa, włączyłem się więc do tej rozmowy. I czy pan sobie wyobrazi, ona nic nie wiedziały o genezie święta trzeciomajowego. Oburzyły się, kiedy wyraziłem zdumienie. Jedna nawet powiedziała, że to ich sprawa, nie moja. Bardzo głupio zareagowałem, bo podjechałem do krawężnika i poprosiłem, żeby wyszły z samochodu. Wyszły. Jedna tylko powiedziała, że jestem idiota. A przedwzorem pewna studentka historii usiłowała mnie przekonać, że czasy ostatnich Jagiellonów są nam nieznane i nie wiemy, czy byliśmy wtedy zafoceni w sferze idei; powoływała się przy tym na jakąś wypowiedź profesora historii. Dręczę mnie więc pytanie, jaka jest wiedza i samo wiedza Polaków? Jaki jest poziom nauczania w szkołach średnich i jakie są wyższe studia historyczne?

Cisza. Przejdzia nad tym, co powiedziałem, do porządku. A jednak

po dłuższym milczeniu pyta: - Pan jest historykiem?

- Nie, taksówkerzem.

- No właśnie.

Wysiadając na Krakowskim Przedmieściu, przy Pałacu Staszica, wypowiada z nagłą tylko jedno zdanie: - Przedziwnie się pan zachowuje, właściwie impertynancko.

Jadę do Wisły - ponad czterysta kilometrów. Starszy pan z zagipowaną nogą i jego córka, dorosła kobieta. Mają dużo bagaży. Z rozmowy wnioskuję, że tam, w Wiśle, czeka na nich rodzina. Zapewne ów starzy mężczyzna miał niedawno wypadek. Ona po niego przyjechała i wiezie go na wakacje. Z dużej, kobiecej torebki, nieuważnie położonej na przednim siedzeniu, wystaje rąbek jakiejś książki. Nie mogę przeczytać nazwiska autora, ani tytułu, zdaje się, że niepoliska.

Im bliżej Śląska, tym więcej wiaduktów, mostów, rozjazdów. Gęstnieją też barwna hasła porozmieszczane na poboczach i nad szosami. Uwagę kobiety przykuwa jakiś slogan na wiadukcie, do którego się zbliżamy. Rozbzdził jej wspomnienia.

- Wiosną osiemdziesiątego pierwszego roku pilotowałam grupę francuskich turystów. Jechałam z nimi do Katowic tą samą co teraz drogą. Na wiaduktach czerwonymi literami, spod których przaswitywało brudnożółta płótno, wypisane były polityczne slogany. Przymyślajona do takich widoków, o czymś bez troski opowiadałam turystom. Bezszelestnie usiadł obok mnie pewien starzy Francuz.

- Pani pozwoli - powiedział półszepem. Szybko skończyłam zdanie i odwiesiłam mikrofon. - Co to jest? - wskazał napis widniejący na wiadukcie.

- A - zaważałam się - taki slogan polityczny.

- Czy mogłaby pani przetłumaczyć?

- Polska ojczyzną wszystkich Polaków.

Francuz przez chwilę milczał. Wreszcie rzekł: - France aux Français. C'est pareil. - Umilkł. A ja bałam się następnego pytania. Jakaż je wkrótce usłyszałam: - Naród polski jest nacjonalistyczny? - Czułam wewnętrzną popłoch. Co mu mogłam powiedzieć? On chyba domyślał się mojego zakłopotania, gdyż nie przyneżył, jedynie jego duże, brązowe oczy wyrażały pragnienie szybkiego zaspokojenia ciekawości.

- Część narodu - odrzekłam.

Zrozumiał. Teraz chciał mi pomóc, więc powiedział: Jak francuski.

- Cést juste - i odetchnęłam.

- Tak, tak - pragnał niefrasobliwym tonem zatrzeć wrażenie tamtego napięcia. - Interesuje mnie Polska. Pani wie dlaczego? Moja żona jest Litwinka. Nauczyła mnie kilku słów litewskich i polskich. Trudny jest wasz język, trudniejszy od litewskiego, niełatwo wymawiać. Na przykład "dzień dobry"... - mówił tak czas dłuższy, aż niespodziewanie powrócił do przerwanej wątku - a po co tak dekoruje się te mosty?

- Nie wiem. Widocznie władza odczuwa tego rodzaju potrzeby.

- A społeczeństwo?

- Nie zwraca uwagi.

- To najlepsza metoda - roześmiał się - Tenez bien, Janine. Tak samo bezgłośnie jak doszedł, uniósł się z fotela.

Po trzech czy czterech miesiącach slogany zniknęły, a po roku znowu się pojawiły...

- To znaczy - przerywa ojciec, że spór o to, czyją własnością jest państwo: Polaków czy wszystkich jego obywateli - trwa nadal, lecz niestety, lub na szczęście na innych poziomach. Nie między jednostkami o różnych orientacjach ideologicznych i politycznych, ale pomiędzy narodem a władzą. Zresztą nie ma, moim zdaniem, żadnej przesady, w któ-

rej antagonizmów takich by nie było. To dobrze, ponieważ one utwierdzą w przekonaniu, że ten ustrój nie jest zgodny z naszą tradycją i przyzwyczajeniami.

Jednakże te nieustające konflikty narodu z władzą mogą mieć i ten skutek, że rozpowszechnią się bardziej niż kiedykolwiek przedtem postawy nacjonalistyczne. Czy zauważyłaś ten paradoks: społeczeństwo po Siarpieniu zmusiło władzę do zdjęcia politycznych haseł z dróg i mostów, a mimo to w niektórych wypowiedziach przywódców "Solidarności" przewijały się - może przez nich nie postrzegane - pewne wątki nacjonalistyczne, w najgorszym tego słowa znaczeniu...

- Przesada, tatko...

- Posłuchaj, czego się obawiam. W Polsce przedwrześniowej antysemityzm był ideologią pewnej tylko części społeczeństwa, chociaż niektórzy Żydzi postępowali tak, jakby chcieli prowokować te nastawienia.

Dzisiaj Polacy rzadko mówią o Żydach, to prawda, bo ich po prostu nie widać, ale to wcale nie oznacza, że w masach polskiego społeczeństwa nie ma potencjału antysemickiego. Mnie się wydaje, że niechąc do Żydów wydatnie się zwiększyła, zwłaszcza w sensie ilościowym. Społeczeństwo, umęczone warunkami materialnymi i ogłupione propagandą, podatne jest na wszelkie szowinizmy i rasizmy. A również pamięć o nikczemnościach popełnionych przez pewnych Żydów komunistów w okresie stalinowskim jest ciągle żywa i, niestety, dyskretnie z góry podsycana. A jeszcze, zważ, świadomość, że niektórzy Polacy żydowskiego pochodzenia służą tej władzy. Wydaje się, że wystarczy iskry i prochy wybuchną. Partia o tym wie i trzyma palący się kłak. W każdej chwili może te uczucia rozbudzić i zdyskontować.

No, ale jeśli chodzi o Jaruzelskiego, to nie jest on ani socjalistą, ani endekiem. Wiesz, po ogłoszeniu stanu wojennego powiedział dyplomatom zachodnim, że będzie bronić socjalizmu jak niepodległości. Kim więc on jest: azalańcem, którego bezrozumny los wyniósł tak wysoko?

- Albo rozumny los.

- Albo rozumny. Czy też świadomym swego renegactwa, wyrachowanym zdrajcą, jakich w naszej historii znajdziesz obfitość niemalą? A najpewniej - fanatykiem serwilizmu. On być może sądzi, że szczególnie jego ojczyzny polega na wiernym wasalstwie. I tej właśnie zależności chce bronić jak okopów Świętej Trójcy. To umysłowość janczara, jak niektórzy, nie bez racji zapewne, o nim mawiają. Ale to wszystko to jedno wielkie chyba. Któż odgadnie jego duszę i pozna jej mroki?! To nie leży w ludzkiej mocy. A teraz pomyślałem sobie, że może nie kiarują nim żadne racjonalne motywy, a tylko bezmyślny atawizm - atawizm władzy i splendoru. Nic więcej. Moralny prymityw. Nie wiem. Wiem natomiast na pewno, że lubi małpować Piłsudskiego. To zdaje się jego idol. Jednak, wiesz, kogo on mi przypomina najbardziej? Wielopolskiego...

- Ależ, tatko...

- Pomijam naturalnie oczywiste różnice w poziomach umysłowych, a myślę o tej ideologii wasalstwa. Sądzę, że Jaruzelski będzie mniej winny od margrabiego, lecz bardziej odeń zhańbiony...

- Tatko, mnie denerwują takie porównania. Tylko sytuacja polityczna, jeżeli ktoś się uprze, w jakimś stopniu może przypominać czasy po powstaniu styczniowym - nie rzeczywistość społeczna i gospodarcza. Tatko, przecież wtedy własność prywatna istniała, ludzie mieli, przynajmniej niektórzy, elita zwłaszcza, środki wytwarzania i w ogóle działania. Programy rozwoju gospodarczego, takie czy inne, nie były w tamtych warunkach fikcją. I realna była walka - nawet walka zbrojna, realna była konspiracja, bo prywatne były drukarnie. A teraz, tatko, to uzupełnia co innego. O zobacz, bocian się przechadza, jaki wyniosły...

- Wiesz, jak nazywa się szosa, którą jedziemy? Gierkówka. A wiesz dlaczego ją wybudowano? Żeby Gierek mógł nią szybko uciekać z Katowic. Tak mawiano, gdy zaczęto prace. I - zauważ - jakoś ta przepowied-

nia się sprawdziła. Kto by wtady przypuszczał, że partia rząci Gierka i kilku innych na pożarcia?

- Jak się czujesz, tatko? Nogę trzymasz wygodnie...?

Od dłuższego czasu próbuje mnie przekonać, że w Warszawie źle się żyje, ponieważ napłynęło do niej dużo ludności wiajskiej.

- Daleko jeszcze do końca - jedzie na Jelonki. Nie mogę zdobyć się na cierpliwość słuchania, a więc przerywam:

- I tek mieszkańcy aglomeracji oszuja niechęć do przybyłych z roli, tamci odgradzają się od was samolubną izolacją. A kto na tym wygrywa? Kto pobudza i podsycza takie animozje?

- Co podsycza?

Żenuje mnie to niemądra i nieopanowane zacietrzewienia. On na nie jednak nie zwraca uwagi i dalej to samo, coraz nemolniej:

- Albo weź pan budylny czy handlarzy piestruską, jak oni żyją. cany. Panie, pomidory u jednego prywaciarze widziałem za tysiąc złotych. Kupisz pan dziacku? Pan może tak - prywatna iniojatywa. Robotnik też. Pan wie, ile zarabiają robotnicy! Ale je nie kupię. Ja urzędnik peństwowy, mnie na to nie stać. Była zachudra bez matury zarabia pięć razy tyle oo ja. Na wias pan pojedziesz, to ci chłop albo nic nie sprzada, albo jeszcze gorzej wyżykuje. Panu jak idzie interes?

- Jako tako.

- No tożas pan burżuj.

Nareszcie dojeżdżamy. Płaci, wychodzi.

Wsiada od razu dwóch mężczyzn. Jeden z laską. choć nie bardzo stary, drugi, w tym semym wiaku, trzyma małe teczki, widocznie jego i swoją.

- Co ten pan, który wysiadł - pyta pierwszy - był taki naburmuszony?

- Naburmuszony?

- No tak, wyglądał, jakbyście się, panowie, kłócili.

- E nie. Denerwował się, że w prywatnych kioskach wsrzywnicznych drogie pomidory.

- Jest powód - zaśmiał się ten z teczkami.

- Popatrz - na to pierwszy - jak łatwo akłócić to społeczeństwo. Kim jest ten człowiek? Robotnik, inteligent? Właściwie nie można tak pochopnie uogólniać i na przykład powiedzieć, że polski robotnik jest narodowo bardziej wartościowy od polskiego inteligenta. Ten drugi co prawda więcej wie i rozumie, ale też bardziej pragnie się przystosować. Pierwszy ma naturalnie mniej do stracenia. Inteligenta natomiast łatwiej pozbawić środków do życia, zepchnąć na margines, zakneblować usta. Lęk przed takim społecznym zniszczeniem wywołuje nieraz polityczną bierność albo nawet pcha do kolaboracji. Robotnik mniej kalkuluje, reaguje bardziej spontanicznie a więc mniej tchórzliwie. A polski chłop? Rzadko reaguje, jeszcze mniej mówi, ale chyba najboleśniej czuje swą krzywdę i nienawiścią broni się przed tym systemem. W uczuciach wszyscy jesteśmy tacy sami, bez względu na pozycję społeczną i poziom umysłowy. W tym być może tkwi nasza siła. Właśnie w naszej narodowej uczuciowości - to niewątpliwie scheda szlecheckiego athosu obywatelskiego.

- Ale ten twój ethos bywał i nieobywatelski, przekupny... - przerywa ten z dwiema teczkami.

- Tak prawdę mówiąc, to wszystko o czym rozmawiamy, jest mgławicą. Spójrzmy konkretnie. Żyjemy w całkowicie nienormalnej rzeczywistości. W państwie, które wszystkich upokarza. Zasada i praktyka totalnej wyższości takiego państwa nad narodem, społeczeństwem, jednostkami, uwłaczająca powinny naszej godności. Co jest legitymacją polskiej władzy państwowej? Posłuszeństwa imie? Wiesz. U nas obywatel...

- Obywatel? - wti...

krad... Czy r...

cializm nie odpowiada? Możesz, ale jakie tego będą skutki. Jeżeli jakaś władza odbiera obywatelom prawo publicznego wyrażania swych poglądów, to odbiera im obywatelstwo. Kto to powiedział, zdaje się, że Pascal? To, że mnogość bez jedności jest chaosem, lecz jedność bez wielości - tyranią. Ot, istota rzeczy...

- Władza nas nienawidzi - ciągnie pierwszy - za wszystko, co mamy, co byśmy chcieli mieć, czego nie mamy. Nienawidzi przede wszystkim dostatku, rozmiłowana w powszechnej nędzy, którą przetwarza w instrument rządzenia. Polska biedna, borykająca się z brakiem podstawowych towarów, balansująca na granicy głodu nie zagraża Sowietom. Niebezpieczna dla nich jest Polska w miarę syta. O tym już można się było przekonać. To prawda, że Związek Sowiecki będzie ją gospodarczo wyniszczał, bo właśnie wyniszczona stanie się pokorna, bezwolna, uległa. Oczywiście polska władza musi tę uległość pogłębiać. Trochę terrorem, trochę liberalizacją. Powiedzmy, taka amplituda - raz pałowania, raz kokietowanie. To mężczy nie tylko nas. I w tym właśnie cała nadzieja - że nie tylko nas. Oni też są już zniecierpliwieni. Tu pan się zatrzyma. Wsiadamy. Dziękujemy.

Dwóch pasażerów pyta, czy bym nie pojechał do Leszna. Nie znają się. Czekali razem na postoju i okazali się, że jadą w tym samym kierunku. Wsiadają. Od razu dyskutują. Jeden wysoki, chudy, o energicznych ruchach, mówi o wojsku. Drugi, mały, przysadzisty, o szerokiej twarzy, kręci się na tylnym siedzeniu. Chudy siedzi koło mnie; coś prawil o "naszej armii". Tamten podkpiwa. Tego to złości i krzyczy, że Układ Warszawski...

- Spokojnie - ten z tyłu - niech się pan nie indyczy. O co panu chodzi?

- Armie Układu Warszawskiego w czasie wojny nie działałyby w formacjach narodowych...

- Panie, to jasne jak słońce. Wal pan dalej.

- Tylko w ponadnarodowych związkach taktycznych. I mają - narasta irytacja - w broni konwencjonalnej druzgocącą przewagę, po paru godzinach od wybuchu konfliktu byłoby już w Kopenhadze...

Śmieje się tyn pyknikowaty: - Zasuwasz pan drobne kawałki. Ja panu powiem, jakby było. Żołnierze Zachodu i Wschodu spotkaliby się na linii frontu, gdzieś koło tej pańskiej Kopenhagi. Spotkaliby się i podnosząc ramiona porzuciliby broń. Panie, kto by chciał walczyć! Ale wiesz pan, co by było dalej? Gorzej niż wojna. Totalna okupacja. Szuohaj pan. Tamci ze Wschodu ominęliby tych z Zachodu i poszli dalej na zachód. Za nimi opadałyby kolorowe neony, pustoszały sklepy, szarzały domy, wyrzuszały chodniki i jezdnie. Gdyby byli już daleko, za nimi ustawialiby się w kolejki do pustych sklepów zdziwieni cywile. A oni by szli. Ręce już by im opadły. Przed nimi otwarta przestrzeń, błyski kolorów, peźnie jaskrawości. Opadnie ramiona wschodnich żołnierzy zaczęłyby się wydłużać, brałoby te kolorowe zabawki i przystrajali nimi, a świat za nimi by ciemniał i ciemniał, a przed nimi przyciągał jaskrawością. Więc by szli. Aż by doszli do końca Europy, do Gibraltaru. Potem albo by na pewien czas się zatrzymali, albo poszliby dalej, wsiedli na okręty, do samolotów, popłynęliby, polecieeli, gdzie byłby jeszcze kolorowy dostatek. Wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma, powiedział żołnierz sowiecki wkraczając do Afganistanu - i chichocze radośnie.

- Pan jest durań!

- A pan palant i okupant.

- Panowie - staram się ich uspokoić. Skutkuje nawet. Przysadzisty wyjmuje z kieszeni książkę i ostentacyjnie zaczyna czytać. Wysoki wpytuje mnie o smochód. Widać, że na tym się zna. On pierwszy wysiada. Tamten jedzie jeszcze kilka kilometrów.

- Ale idiota - mówi.

- Niepotrzebnieście się kłócili.
- Okupant. On myśli, że by wygrali. Oni wszędzie wejdą bez walki, a jak ktoś się zdobędzie na odwagę, to nie wejdą. Patrz pan, jakiego teraz mają cykora z powodu rakiet.

- Niech pan już się nie siardzi. Ładnia, chociaż ponuro pan to ujął.

- Pisuję czasem. Dla siebie. Może kiedyś wydam. Wymyśliłem takie opowiadanie. Nasi przywódcy skazani na ciągłe przemawianie. Siedzą w ogromnej sali. Jeden przemawia, drudzy słuchają. Najpierw Bierut. Truje, truje. Kończy. Wszyscy klaszczą i klaszczą. Potem Gomułka. To samo. Potem Gierek. Później Jaruzelski, ten najdłużej i najwznioślej - o historii, która wszystko zrozumie i przebaczy. A potem od nowa: Bierut o odbudowie, planie trzyletnim. Tak bez przerwy przez całą wieczność. Jak to się panu podoba?

- Niezłe. Zależy, co będą mówić.

- Może z tego lepiej zrobić dramat, jak pan myśli?

- Nie wiem, to zależy...

- Ale tamten okupant z tą Kopenhagą to mnie zdenerwował. Albo zajmą cały świat bez walki. Albo gdy Zachód zechce się bronić, dostaną w dupę. A tu, dziękuję, wysiadę.

Na dworc centralnym. Wsiada, wymienia nazwę ulicy i - jak tyłu pasażerów - od razu mówi o sobie: - Na szczęście zachorowałem...

- Na szczęście?

- A tak - śmieje się - dla niektórych choroba, byle nieśmiertelna, to wyzwolenie. Dzięki niej zostałem zdymisjonowany. Jestem oto w cywilu. I oczywiście nowe, ale inne, kłopoty - szukam pracy. Dla marynarza i łatwo, i trudno zarazem, myślę o marynarce handlowej. Po zdaniu kilku egzaminów zdobyłem wreszcie patent na drugiego oficera. Jadę teraz do brata. On tu, w Warszawie, ma rozliczne koneksje; kiedyś był mocno partyjny. Pisze, że pomoże. Jadę więc w nadziei, że coś znaję.

- To piękny zawód...

- Marynarz? Tak, piękny. Odsłużyłem swoje w wojsku. Przażyłem wojnę, wie pan jaką. I po niej odszedłem - chory, niezdolny do dalszej służby. Z soboty na niedzielę grałem u siebie w brydża. Ktoś ostro zadzwonił. Żołnierz, wybladły, wylękniony, z rozkazem natychmiastowego zgłoszenia się do dowódcy flotylii. Domyśliłem się, że to początek jakiejś ponurej farsy. Zaniepokoiłem się o los rodziny. O sobie nawet wiele nie myślałem, chociaż gdzieś w głębi duszy czułem strach przed plutonem egzekucyjnym. Na okręcia dowódcy dostałem zalakowaną kopertę. Otworzyłem. I wie pan, co było w niej najkomiczniejsze? Data - 31 marca 1981. Zacząłem się śmiać; nie mogłem tej wesołości opanować. Dowódcza i oficerowie patrzyli na mnie jak na wariata; tę reakcję uznano, jak potem się dowiedziałem, za objaw patologii. Po paru dniach pomyśleliśmy do Szczecina, pacyfikować stocznię. Moi szanowni koladzy kazali na swych okrętach odkrywać działa. Mój zastępca - oficer polityczny - wydał żołnierzom rozkaz zdejmowania brezentu z luf. Odwołałem ten rozkaz i jedynie mój okręt przybił do nadbrzeży szczecińskich z zakrytą bronią. O, miałem potem za swoje, miałem. Lecz wkrótca ten mój śmiech, te nieodkryte działa zaczęły procentować, ułatwiły przyjęcie dymisji. Co za ulga. I z partii wystąpiłem. Wiem, że teraz trudniej znaleźć pracę, ale jak już to już - na całego. A jeśli nie zaokrętuję się u jakiegoś dobrego armatora, to będę pływał po Odrze - śmieja się trochę kwaśno. - Naszych marynarzy, jeżeli nie piją wódki, szanują za granicą. A ludowe państwo - łapczywe na dolary, nie stawia większych przeszkód, przecież bierze prawie połowę naszej gaży, w szelaszczących, żywych zielonych. Mnie się udało. Innym nie lub mniej. Musiałbym panu cały wieczór opowiadać, co dzieje się, przepraszam: działa, w wojsku. Chyba pan wie, że na Helu internowano nieposłusznych oficerów, niewielu ich wprowadzie było, ale byli. Mnie po nieodkryciu tych

dział również groził Hel. Lecz jakoś się wywikłałem. Jestem chyba w czepku urodzony. Potem ta choroba. Może i nam wszystkim uda się wyjść z tego obronną ręką. Nie wiem jak i kiedy, ale wierzę w to, choć i muszę wierzyć. Nie takie bywały już ciężkie chwile i proszę - rozmawiamy po polsku, otwarcie, nie boimy się. Najgorszy jest strach i najtrudniej go stłumić. Ja często ćwiczę się w pokonywaniu strachu. Nasza rozmowa to także takie ćwiczenia. Pan nigdy nie bawi się w odwagę? A radzę, radzę - to dobrze działa na psychikę i system narwowy. A poza tym z tą zabawą mogą wynikać i korzyści praktyczne, nigdy bowiem nic nie wiadomo. Nie wiemy, co nas jeszcze czeka. Jak pan widzi, mój optymizm jest trochę pesymistyczny. Takia to zawiałość. Wszycyśmy zawili i może dlatego nasz wielki sąsiad nie potrafi nas pojąć i ostatecznie rozbroić. Lecz proszę już tak szybko nie jechać. Pierwsza przecznicza w prawo i zaraz za rogiem stajemy. O tak, dobrze. Miło, że pan tak cierpliwie mnie słuchał. Obaj ćwiczylismy odwagę, prawda? Dziękuję. Może - do zobaczenia.

Dwoje Cyganów z małym chłopcem. Dziecko wierci się i ciągle grymasi.

- Na Szmulki - mówi kobieta - tam, gdzie mieszkają Cyganie.

- Gdzie Szmulki wiem, gdzie mieszkają Cyganie - nie.

- To nic, pokażemy - wtrąca Cygan. - Dano nam tam mieszkanie. Ciasne, małe, ciemne. W kilku miejscach Warszawy mieszkają Cyganie, nie wiedział pan? Chcemy jechać do RFN, nie dają paszportu. Na zawsze to tak, ale my nie chcemy na zawsze. Tam jest dużo Cyganów, mamy wielu krewnych, chcemy pojechać, pobyc trochę, popracować i wrócić. A oni ciągle - na zawsze. A tam by trzeba od nowa - języka się uczyć. Wszystko od nowa. Dzieci mają polskie imiona, do polskich szkół chodzą, po có im zaczynać od nowa. Ksiądz chrzci je naszymi cygańskimi imionami, ale w cywilnej metryce musi być polskie, władze innych nie uznaje. Ten ma w metryce Stanisław. Chrzestne jest inne, cygańskie. Ale chyba wyjedziemy na stałe. Tu się nie da zarobić. Nas przybywa, a pracy ubywa i o mieszkanie trudno, już nie chcą Cyganom przyznawać, a pod namiotami nie wolno. W innych miastach jest jeszcze gorzej. Inni nam zazdroszą, że my z Warszawy. Panie, trzeba stąd uciekać, chociaż żal. Dziadek tu mieszkał, ojciec.

- Przepraszam. Nic się pani nie stało?

- Nie. Tylko przestraszyłam się. I pan zapewne również. Jeszcze panu wygrażał. Czy oni podobnie zachowują się w taksówce?

- Jak mogę, tak unikam pijanych. Zresztą przepisy zabraniają wozić nietrzeźwych. W tym jednak rzecz, że łatwo spozstrzec pijanego, który chwieje się na krawężniku i usiłuje zatrzymać taksówkę, ale nie można go dojrzeć na postoju wśród oczekujących. A gdy wsiądzie do auta, nie sposób go się pozbyć. Po ludzku rzecz biorąc, należałoby pijanego zawieźć, dokąd pragnie...

- Neurastenicy na rozdrożu. Konwicki.

- Słucham? Kto?

- Teki pisarz, wyraził powszechną obyczajowość i świadomość. Napisał o nas, że jesteśmy neurastenikami na rozdrożu. Przenosił niebrzydka. A ja zastanawiam się, co tu jest skutkiem, a co przyczyną. Czy neurastenicy i dlatego piją. Czy neurastenicy, że piją. Tłumaczę to sobie strachem. Ludzie boją się życia bez perspektyw, podejrzeń, szklan, dyskryminacji, więzienia. Jak długo można się bać? W pewnym kraju boją się od czterech pokoleń, a wódka pozwala zapomnieć o bez nadziei - naplewać. Pijani nie boją się, a raczej nie czują lęku, tak jak nie czuje się po alkoholu bólu fizycznego. Pijacy są posłuszni. Mogą wprawdzie wykrzyknąć swój protest, lecz później, gdy

otrzeźwiają, stają się tym bardziej ulegli, im bardziej byli pijani. Pijaństwo jest w moim przekonaniu zjawiskiem z pogranicza legalności i przestępstwa. Żaden pijany nigdy nie wie, czy upił się lojalnie, czy przestępczo. Boi się już tylko swego pijaństwa, a ta bojaźń jest potrzebna, bo zagłusza tamten strach przed codziennym, beznadziejnym życiem. Władza niby ma sposoby na poskramianie hałaśliwych pijanych. Przy okazji będzie je można zastosować do politycznie krnąbrnych. Muszę panu powiedzieć, że gdy włączorem wychodzę z psem przed dom, to stwierdzam, że nic się nie zmieniło - ulicami chodzą pijani i policjanci, a nierzadko i pijani policjanci, w jakiejś niedekretowanej zgodzie. Był pan w Sowiatach? Szkoda. Ja byłem. I te widoki są mi stamtąd znana. Ta nowa ustawa, którą szumnie nazywa się antyalkoholowa, nic nie zmienia, tyle tylko, że alkoholik ma jaśniejszą świadomość niż przed dwoma, powiedzmy, laty, że czyn jego podlega karze, której mu nikt nie wymierzy. Tylko tyle, że przed pierwszą w południe wódki pan nigdzie nie kupi, a potem ile dusza zapagnie i gdzie się chce...

- Na Brzeskiej o pierwszej w nocy.

- Wiem. Nie tylko tam. Czy pan zauważył, że społeczeństwo nie potępia pijanych? Trektuje ich z jakąś wyrozumiałą żartobliwością. To jest jakby przyzwolenie... Czy pan zgodzi się ze mną, że arogancja pijanych współmiernia wzrasta do liczby alkoholików, a coraz większa liczba nałogowców obniża poziom naszej kultury? I tak jak na karuzeli - po linii zamkniętego koła. Oficjalne stytystyki, którym zrasztą nie wierzę, nie podają liczby alkoholików. A kościelne, którym skłonny jestem dać wiarę, mówią o pięciu milionach. Trudno w to jednak uwierzyć. Chyba przesada, nie uważa pan? Mnie się wydaje, że u nas pijaństwo to nie tylko beznadziejność, to także niejasno uświadomiane poczucie poniżenia. Wódka daje przecież uzudę godności. Cud, na jaki wszyscy czekamy, sprawi zapewne, że znikną bódźce do picia - jak w Sierpniu, jak w stoczni. No, ale rozgadałem się i zanudziłem pana. Jestem psychologiem. Pracuję w poradni zdrowia psychicznego - to takie skażenie zawodowe. Niech więc pan mnie usprawiedliwi. Do widzenia panu. Życzę dobrych kursów.

- Nas się nie da zsovietyzować - tromtadrecko wywodzi młody mężczyzna z obfitą, niemal patriarchalną brodą, jakże kontrastującą z jego drobną sylwetką i patriarchalnymi rysami twarzy.

- A to czemu?

- Obroni nas tradycja...

- Jaka tradycja?

- Nasza krnąbrność, nasze umiłowanie wolności, indywidualizm, solidarność, religijność, europejskość myślenia, odwaga.

- A nie powiedział pan: mądrość polityczna i prawosć. Czyżbyśmy tych wartości w naszej tradycji nie mieli? A poza tym, czy jakakolwiek tradycja chroni przed demoralizacją, niszczącą przede wszystkim najważniejsze ogniwa społecznej solidarności? Być może tak, lecz jedynie wtedy, gdy wszystkie generacje pracują, powtarzam: pracują nad pomnażaniem jej treści i doskonaleniem wartości. Kiedy natomiast w jakimś pokoleniu tradycja staje się wyłącznie zbiorem skamieniałych wzorów, to traci siłę oddziaływania, a więc w rzeczy samej przestaje być tym, czym powinna, staje się pustym naczyniem, do którego łać można różne płyny, nawet najbardziej trujące roztwory. Największy naród pod słońcem, ale żadne społeczeństwo - taką o nas diagnozę postawił przed wiekiem z górą Norwid. I właśnie w tę naszą słabość zostaliśmy uderzeni. Czy pan tego nie dostrzega?

- Panu powinno się odebrać prawo głośnego mówienia...

- Już odebrałem, dwa lata temu...

- Pan wygłasza szkodliwe poglądy. Teraz tak twierdzić nie wolno. Teraz takimi opiniami się szkodzi. Teraz trzeba wierzyć...

- Ależ ja wierzę...
- W co?
- W to samo co pan.
- Nie. Pan wierzy w niemoc.
- Nie. Ja wierzę w to oo pan, tylko co innego widzę, czego innego doświadczam.
- To sprzeczność.
- Proszę, niech pan zamieni się ze mną. Będzie pan jeździł taksówką, powiedzmy, przez miesiąc...
- A zgoda. Taksówka to zupełnie inna perspektywa.
- Totalnie mówię, co widzę z tej właśnie perspektywy.
- Ala panu nie wolno takich przekonań publicznie głosić, bo one są defetystyczne i nihilistyczne. Pan może sobie tak myśleć, ale nie głośno mówić.
- Szanuję pański młodzieńczy idealizm...
- Teraz pan mówi mentorsko.
- Przepraszam.
- Nie dogadamy się. Współczuję panu. Pan chyba cierpi.
- Cierpię?
- Że tak czarno widzi. Kim pan był przedtem?
- Skąd pan wie, że byłem kimś przedtem?
- Domyślam się. Służył pan. Kłamał. Wychwalał ustrój. A teraz druga skrajność. Też pan w jakiś sposób służył partii - siejąc zwątpienie. Panu powinno się odebrać prawo mówienia...
- Już powiedziałem - odebrano...
- To dobrze. Na szczęścia dojeżdżamy. Widzi pan ten dom po prawej stronie, z dużą, ciemną bramą? Tam proszę się zatrzymać. Cieszę się, że będę mógł pana pożegnać. I myślę, że już się więcej nie zobaczymy.

Centrum Pragi rozkopane. Ciasno. W gorącym powietrzu ani drgnie spalinowy smog. Boli głowa, szczypią powieki. Pasażer nie pozwala milczeć, ciągle o coś pyta. Monosylabowe odpowiedzi chyba go denerwują. Za ogrodzeniem zwały rozkopanej ziemi, przy szańcach spokojnie rozmawiają robotnicy. On aż się unosi na siedzeniu, odwraca do szyby, patrzy na nich przez chwilę i mówi nie zwracając ku mnie twarzy:

- Patrz pan, kurwa ich mać, stoją. Naokoło wszystko rozpieprzone, a oni gadu, gadu. Każdy pierdoli robotę. Ja bym takich gnojów na Żuławki wysłał. Na Zachodzie ludzie pracują. Zasuwaają - i wszystko mają. A my mamy gówno, bo nie chcemy pracować. To wina władzy, bo nie umie wychowywać. Bata trzeba. Dobrego bata i dobrego woźnicy; to by poszło. Widziałeś pan, jak reperowali most Łazienkowski? Ja tam co ranożem przejeżdżał. Stali, piwko popijali albo w ogólnie nikogo nie było. Pannie, im łagodniejszy ustrój tym gorzej. Polacy potrzebują w dupę dostawać, żeby pracowali. Cożes pan taki ponury - odwraca się do mnie - nic nie gadasz. Powiedz pan coś.

- Pracuję.

- Nie czaruj, mistrzu. Co to za praca - kółkiem kręcić. Cały szmal dla siebie. I ja na taksówkę pójde. Już złożyłem papiery. Powiedz pan, kurwa, jest życie? Może się kiedyś na jakimś postoju spotkamy, to pogadamy. Nie jedź pan przez Zieleniecką, wal prosto Grochowską. Cożes pan taki chojrak, myślisz, że nie wiem, że dalszą drogą chcesz jechać. Nie ze mną takie numery, Bruner. Teraz pan skręć i będziemy na Waszyngtona. O dobrze. Tu stań. Kurwa, co to była za jazda przez te Prągie.

Podziemna "Solidarność" ogłosiła kilkunastominutowy strajk - w środku dnia. Nie wiadomo, co dzieje się w fabrykach; taksówkarze w każdym razie jeżdżą. Wyjeżdżam i ja - po benzynie, na wieczór już bo-

wiem nie starczy. Przy GUS-ie nie ma. Trzeba jechać do tej przy ul. Rewolucji Październikowej. Wjeżdżając w tunel zepalam światła. I dalej - na światłach, zapominam o nich. Nagle spostrzegam stojący na chodniku z prawej strony policyjne auto. Oni też mnie zauważyli. Jeden, chyba plutonowy, już mnie zatrzymuje.

- Dokumenty - Podaję, on przegląda, podchodzi drugi, sierżant.

Sierżant: - Odbieramy prawo jazdy.

- Dlaczego?

- Dowie się pan na kolegium.

- Kolegium? Dlaczego?

- Nie będziemy z panem dyskutować.

- A niby dlaczego?

- Bo nie. Strajkuje się, co?

- Ja? Nic podobnego. Jechałem po paliwo.

- Na światłach...

- Zapomniałam zgasić.

- Na kolegium się będzie pan tłumaczył.

- Ależ panowie, to, to... prowokacja...

- Cożas pan powiedział?

- Że pomyłka. Nieporozumienie. Proszę oddać prawo jazdy, bo...

- Bo co?

- Bo to nieporozumienie.

- Nie zwracaj pan dupy. Jak się nie podoba, odbierzemy kartę wozu i koncesję. I koncesji już pan nigdy nie odzyskasz. A może się panu w ogóle nie podoba, co? To wsadzimy, proszę z nami. - Do plutonowego. - Józak zobacz, drugi taryfjusz na światłach. Co za głupie chuje, oni myślą, że te numary przejdą. Zatrzymaj go. - Do mnie: - Zjedź pan na bok i zaczekaj, musimy spisać.

- Ale, proszę pana...

Wzrusza ramionami i odchodzi.

Po pół godzinie inny policjant przynosi mi tak zwane "zastępcze prawo jazdy", ważne na dwadzieścia cztery godziny. Przyczyna odabrania dokumentu: "niewłaściwy stosunek do funkcjonariuszy MO!"

JACEK WEGNER

./Fragment większej całości/

Donos na Świątniki Górne

Kiedy będziesz, Drogi Czytelniku, czytał mój donos wyborczy ze Świątnik Górnych, będzie już pewnie koło Nowego Roku. Moje i Twoje emocje wyborcze będą już należały do przeszłości. Przypominam Ci je mocje wyborcze będą już należały do przeszłości. Przypominam Ci je mocje wyborcze... Według Urbana wybory przegraliśmy, co wykazał w TV przy pomocy wykresów, poddając w wątpliwość metody opracowane przez podziemne struktury "Solidarności". Nie będę się spierał i angażował matematyków, którzy mogliby wykazać coś wręcz odwrotnego. Zachód w majestacie swego obiektywizmu oceniał dane Urbana i "Solidarności", dostrzegając tendencyjność po obu stronach. Ciekawe, dlaczego nie przysłali swoich obiektywnych obserwatorów, wszak to ich byli przywódcy w Jańcie gwarantowali, że będą stali na straży demokratycznych wyborów w PRL /i nie tylko/. Słabo im to wyszło już w 1947 roku. Toteż nie licząc na nich postarałem się o konkretny dowód, jak to wyglądały wybory w PRL. Nie miałem możliwości obsadzenia wszystkich punktów wyborczych w kraju, ale w Świątnikach Górnych miałem. Moi umyślni aiedzieli za odpowiednim krzakiem i notowali nie kreaczkami, ale nazwiskami i wiejskimi przezwiskami. Bo też moi umyślni znają całą wieś.

Komisja wyborcza:

- | | |
|-------------------------------------|---------------------------------|
| 1. Cholewa Marian | 38. Synowiec Feliks |
| 2. Cholewa Kazimierz | 39. Słomka Maria |
| 3. Stryszowski Kazimierz | 40. Poznńska Józefa |
| 4. Cholewa Czesław | 41. Jopek Maria |
| 5. Michalec Jan /Kucharz/ | 42. Jopek mąż |
| 6. Szawran Sławomir | 43. Kowalik Piotr |
| 7. Kotarba Stanisław /Ciaćka/ | 44. Baran Helena |
| 8. Grabowski Tadeusz /Pierwszy/ | 45. Synowiec Staszek /Cielica/ |
| 9. Bodzón Leonard /Wariat/ | 46. Lenczowski Stefan /Balaga/ |
| 10. Michalec Marian | 47. Gorzkowski Stanisław |
| 11. Chrapaczyńska Barbara | 48. Mika Edward |
| 12. Kotarba Artur | 49. Kotarba Włodzimierz |
| 13. Bujas Józef | 50. Nowak Zenon /Blot/ |
| 14. Cholewa Janusz /Od kościelnego/ | 51. Łopata Henryk |
| 15. Chrapaczyński | 52. Michalec syn Janusza |
| 16. Dużewaki Zdzisław | 53. Grzesik Felika |
| 17. Makowski | 54. Surówka /szewc/ |
| 18. Makowska | 55. Synowiec Stanisław /Ciepel/ |
| 19. Jasica | 56. Michalec /Gniadek/ |
| 20. Malec Wiesław | 57. Lenczowski Józef /Jagustyn/ |
| 21. Wiktusia Kochanik | 58. Gniadek Kazimierz |
| 22. Mika Włodzimierz | 59. Pitola Antoni |
| 23. Pokuta | 60. Drapich Kazimierz |
| 24. Kochanik Józef | 61. Kotarba Marian /Teodor/ |
| 25. żona Kochanik | 62. Gradek /Danka gruba/ |
| 26. Baran Tadeusz | 63. Baran Jan |
| 27. Synowiec Julian /Szlachcic/ | 64. Kutaj Wanda |
| 28. Kasiutek Leszek | 65. Kotarba Halina |
| 29. Cholewa Kazimierz /Brzyzek/ | 66. Michalec Marek |
| 30. Synowiec Michalina | 67. Kotarba Witek |
| 31. Kwintowski Marcin | 68. Synowiec /Szabelka/ |
| 32. Bujas Feliks | 69. Siatka Kazimierz |
| 33. Gadocha Maria /Dupek/ | 70. Synowiec Ludwik |
| 34. Kurleta Stefania | 71. Sieja Władysław |
| 35. Kurleta Janusz | 72. Surówka z Madejek |
| 36. Chochlica Janina | 73. Mazanek /Ciaćka/ |
| 37. Surówka /Szewcowa/ | 74. Zygałko mąż |
| | 75. Zygałko żona |
| | 76. Kotarba Emil |

77. Cholewa Józef
 78. Gawor Stefan
 79. Kotarba Mieczysław /Wolancik/
 80. Kotsrba Józef /Karolicek/
 81. Chochlica Rudolf
 82. Pyrdek Józef
 83. Mika Kazimierz /Klimek/
 84. Wodziński Mieczysław
 85. Chamel Andrzej
 86. Chamel /żona/
 87. Luzar Maryla /Malinowaka/
 88. Michalec Jan
 89. Gawęda Jan
 90. Czernicki Józef
 91. Bujas Jarzy /Końton/
 92. Syrek Emil
 93. Ogórek Jerzy
 94. Syrek Jan
 95. Kozioł Władysław
 96. Mika Zofia
 97. Surówka Eugeniusz
 98. Michalec Janina
 99. Kozioł Krystyna
 100. Lenczowska Maria
 101. Lenczowska Zofia
 102. Kutaj Lech
 103. Kowal Janina
 104. Wclas Maria
 105. Chochlica Helena
 106. Kowal Józef
 107. Gawor Ryazard
 108. Cholewa Maria
 109. Kaczor Emil
 110. Monsur Tadeusz
 111. Kotsrba Zbigniew
 112. Synowiec Zdzisław
 113. Kaczor /milocyjant/
 114. Kowalczyk Adam
 115. Czerwiński Władysław
 116. Czerwińska /żona/
 117. Michalec /nauczycielka/
 118. Fijał /góral/
 119. Cholewa Michał /jehowy/
 120. Kotarba /syn Henryka/
 121. Kurowski Stefsn
 122. Kotarba /żona/
 123. Sarga Jan
 124. Kotarba Sławomir
 125. Kogut Henryk
 126. Kogut /żona/
 127. Bujas Wanda
 128. Szczebińska Bogusława
 129. Syrek Krystyna
 130. Nowalka Jan
 131. Cholewa Genowefa /Jagustyn/
 132. Matoga Elżbieta
 133. Sieja Hanka /Ciaćka/
 134. Sanecka Teresa
 135. Gawron Marian
 136. Gawron /żona/
 137. Sanecki Zbigniew
 138. Słomka Marek
 139. Synowiec Edward
 140. Synowiec /syn Edwarda/
 141. Wolska Barbara
 142. Wolski Stanisław
 143. Bugaj Julian
 144. Bugej Anna
 145. Sosin Anna
 146. Kuc Anna
 147. Kuc /mąż Anny/
 148. Jędrzejewski Andrzej
 149. Jędrzejewska /żona/
 150. Ogórek Irena
 151. Kotarba Helena /Klimek/
 152. Gniadek Stanisław /Loch/
 153. Gniadek /żona Stanisława/
 154. Kotarba Zofia /z za kościoła/
 155. Piątek Magdalena
 156. Piątek Bronisław
 157. Michalec Helena /Sarzecka/
 158. Bodzoń Jan
 159. Bujas Halina
 160. Gniadek Tadeusz /Loch/
 161. Kwintowska /żona Henryks/
 162. Synowiec Jerzy
 163. Kotsrba Zofia
 164. Jutrznia Józef
 165. Król Teresa
 166. Król Władysław
 167. Gorzkowska Halina
 168. Sikora Zula
 169. Kotarba Ewa
 170. Słomka /były nauczyciel/
 171. Bałazińska Anna
 172. Chorabik Artur
 173. Chorabik Henryk
 174. Chorabik Józef
 175. Chorabik Antoni
 176. Zych Artur
 177. Szafran Janusz
 178. Szafran Marta
 179. Grzeak Frydek
 180. Wyka Maria
 181. Słomka Stanisław
 182. Kurleta Krzysztof
 183. Kurleta /żona/
 184. Piotrowska Anna
 185. Piotrowski /mąż/
 186. Synowiec Marian
 187. Drapich /żona Marians/
 188. Tylek /furman/
 189. Kisiel Elżbieta
 190. Chochlica Bogdan
 191. Kotarba Mieczysław
 192. Gniadek Stanisław
 193. Gniadek /żona/
 194. Urbanik Jan /Jedynka/
 195. Szymańska Genowefa
 196. Szymańska /córka/
 197. Szymańska /córka/
 198. Bałaziński Zbigniew
 199. Kowal Tadeusz
 200. Baweda Józef
 201. Kotarba Stanisław /Ciapek/
 202. Wyka Marek

203. Wyka /żona/
 204. Bodzoń Darek
 205. Kowal Marian
 206. Bodzoń Bogdan
 207. Kochanik Jerzy
 208. Drapich Piotr
 209. Kochanik /żona Jerzego/
 210. Janusz Czeżawa
 211. Michalec Danuta
 212. Poznański Bronisław
 213. Szczygieł /żona Mietka/
 214. Bujas /przedszkolanka/
 215. Szczurak Józef
 216. Kotarba Józef
 217. Kotarba Jadwiga /Ciaćki/
 218. Kotarba Benek
 219. Gawęda Władysław
 220. Kogut /córka/
 221. Szwacha Barbara /wdowa/
 222. Niedbała Józef
 223. Niedbała Halina
 224. Wilkosz Ewa
 225. Kotarba Adam
 226. Pitala Helena
 227. Pitala Ewa
 228. Pitala Bożena
 229. Lenczowski Józef
 230. Słomka /żona inżyniera/
 231. Szczurek Jan
 232. Śmieszkiewicz Halina
 233. Suder Kazimierz
 234. Jurak Kotarba /Ciporek/
 235. Bodzoń Krystyna
 236. Łopata /córka/
 237. Zięć Łopaty
 238. Marek Zbigniew /Hopsiek/
 239. Synowiec Stanisław
 240. Debski Edward
 241. Debska Henryka
 242. Drapich Piotr
 243. Drapich Krystyna
 244. Kubonka Milka
 245. Chamel Jan
 246. Chamel Anna
 247. Grabowskiego zięć
248. Bambus Ryszard
 249. Grzeasik Stefania
 250. Jurek /nauczycielka/
 251. Michalec /synowa organisty/
 252. Wilk /córka Miziury/
 253. Bali Kazka zięć
 254. Tarnowiak syn Rozalii
 255. Kotarba Sławomir
 256. Gawor /żona Ryśka/
 257. Kotarba /Zuroszczczyk/
 258. Kurowska /żona Stefana/
 259. Miczyk Kazimierz
 260. Syn Cholewy Janusza
 261. Drapich Bronisław /Konfranty/
 262. Trojanowski /Pinokio/
 263. Kotarba /Kusiówna/
 264. Sowiecek Czesława /3-15/
 265. Kotarba Janina
 266. Barbara Drapich
 267. Góralka /od Gawędziny/
 268. Sendlar /strażnica/
 269. Fijałowa
 270. Suder Wacław
 271. Suder /żona/
 272. Chochlica Anna
 273. Drapich /Iraś/
 274. Synowiec Józef /Mały/
 275. Córka Staszka Ciaćki
 276. Mąż córki Ciaćki
 277. Śmieszkiewicz Halina /Bykowa/
 278. Perus
 279. Kogut /Młody/
 280. Gniadek /zięć Michalca/
 281. Janusz od Chajderków
 282. Czesiek /kierowca/
 283. Galas Maria /Sroka/
 284. Kochanka Bałazińskiego
 285. Bałaziński /teść Romana/
 286. Bałazińska
 287. Memerka /nr 1/
 288. Memerko /nr 2/
 289. Mąż Memerki
 290. Marta od Czuchrajki
 291. Janka /krawcowa, sąsiadka Ciurcków/

Plus 31 osób niezidentyfikowanych, plus 87 osób z Olszowic. Razem 410 osób na Świątyni i Olszowice, tj. około 25% ogółu uprawnionych do głosowania.

I cóż Państwo na to? Kto nie wierzy, niech jedzie do Świątyni Górnych i sobie sprawdzi, czy to wymyśliłem. Tak więc Świątyni Górne mamy rozpracowane i wiemy kto jest kto.

Pozdrawiam Czytelników i 75% mieszkańców Świątyni Górnych.

KONRAD STRUGA

Cena 300 zł